Nr. 12. Poznań, Niedziela 18-go Marca 1900 r. Rok IV.





Św. Józef.

Od Redakcyi.

W dniu dzisiajszym przybył „Pracy“ 170 abonent w ciągu marca. W ciągu ostatnich paru dni stu siedemdziesięciu więc nowych czytelników zwerbowali nam przyjaciele nasi.

Pobudza nas to do serdecznego podziękowania tym wszystkim, którzy uważają sprawę naszą za swoją sprawę, a w powodzeniu „Pracy“ widzą niejako widomy znak, że szerzy się wśród ludu naszego samowiedza narodowa, że wzrasta przywiązanie do ojczyzny. Czujemy, że wzrasta coraz bardziej zastęp naszych przyjaciół, że po za sobą mamy zwartą falangę ludzi świadomych celu, — którzy po nad wszelkie kwestye stronnicze chcą stawiać jedynie: dobro sprawy. Pobudza nas to do kilku uwag, które niczem zresztą są innem, jak tylko echem tych dążeń, które każdy z czytelników naszych zna dobrze, bo w ich imię szliśmy dotychczas i iść będziemy nadal.

Nasze cele narodowe zdołamy osięgnąć tylko wtedy, jeśli ku wspólnej pracy połączymy wszystkie warstwy społeczne — bo wszystkie one mają równe prawo i równy obowiązek troszczenia się o przyszłość naszą. W imię tak pojętego obowiązku narodowego inteligencya nasza nie powinna ani na chwilę ustawać w pracy nad ludem, powinna go oświecać, zachęcać do brania udziału w życiu politycznem; warstwy średnie zaś i lud prosty powinien coraz lepiej pojmować, że spoczywa na nim już teraz brzemię obowiązków wobec ojczyzny, obowiązków, którym tylko przez usilną pracę zadosyć uczynić potrafi.

Z takiego zrozumienia zadań chwili, które dziś jest powszechnie przyjętem, wynikają wskazówki i dla pism naszych.

„Praca“ pojmuje społeczne i narodowe zadanie pisma polskiego w ten sposób, że nawołuje inteligentne klasy do zajęcia się ludem, do dzielenia się oświatą, duchem, myślą obywatelską z tymi, którzy w szeregu obywateli jak najprędzej stanąć powinni.

„Praca“ zasadniczo, energicznie i bezwzględnie potępia wszystko, co się celom narodowym sprzeciwia, co wnosi w społeczeństwo nasze rozłam i rozdwojenie, co grozi oziębieniem gorącego przywiązania do sprawy ojczystej, co oznacza wyrzeczenie się choćby najmniejszej cząstki z nigdy nie przedawnionych praw naszych do egzystencyi.

„Praca“ do najszerszych warstw społecznych woła: Was teraz potrzebuje obrona sprawy! Wstańcie wy, którzy śpicie! Bądźcie obywatelami z serca i z ducha! Czas już, abyście stanęli w szeregach obrońców sprawy ojczystej!

„Praca“ dalej zachęca do organizowania się na polu ekonomicznem uważając dobrobyt materyalny naszego społeczeństwa za konieczny warunek spełnienia jego wyższych, idealnych przeznaczeń i celów.

Nawołując do pracy w dziedzinach, któremiśmy jeszcze niezawładnęli samodzielnie w handlu i przemyśle, przypominamy zawsze, że pracy tej przyświecać powinien wielki cel idealny, i że dobrobyt materyalny ma być tylko podstawą, na którejby się mogła rozwinąć niezależna, silna i do obrony praw ojczystych zdolna klasa średnia.

Dbając o dobrobyt najniższych robotniczych warstw, zachęcając do oświaty — mamy na widoku zawsze ten sam cel idealny — objęcie całego narodu, wszystkich warstw społecznych pierścieniem wspólnej walki w obronie zagrożonej narodowości.

Przyświeca nam ideał, że pismo polskie stać się może i powinno się stać uniwersytetem dla ludu, skarbnicą nadziei i otuchy w lepszą przyszłość.

Temu zadaniu, tym celom nie sprzeniewierzy się „Praca“ nigdy. Zachętą i nagrodą naszą jest to, że widzimy w masach naszego narodu zrozumienie tych słów i tych celów naszych; zachętą i nagrodą jest każdy dowód, że dla naszych czytelników stało się pismo nasze przyjacielem domowym, do którego z otwartością i szczerością zwracać się należy, którego gorąco i żywo popierać trzeba.

Ta przyjaźń, która otacza nas zewsząd, najlepszym się nam wydaje puklerzem przeciw wszystkim wichrom, któreby nasze cele groźbą procesów i kar zwichnąć chciały.

Wam, przyjaciele w Poznańskiem, w Prusach Zachodnich i Wschodnich, na Śląsku, w Galicyi, w Berlinie, w Westfalii, i nad Renem i we wszystkich rozsianych po świecie koloniach polskich przesyłamy za trudy wasze serdeczne podziękowanie i bratnie pozdrowienie.

„PRACA.“

Nie rozumiemy się.

Jakkolwiek sprawę odezwy „Ligi narodowej“ uważać już dziś można za nieudany efekt, nad którym przechodzi się do porządku dziennego, to wszakże komentarze, jakich tej jedynej w swoim rodzaju publikacyi prasa polska nie poskąpiła, nastręczają szereg wniosków, bardzo charakterystycznie oświetlających nasze wewnętrzne położenie polityczne.

Niczego by też więcej życzyć nie należało, jak tylko tego, aby autorowie odezwy i koła, w najbliższej z nimi stojące styczności, zechcieli właściwe wysnuć wnioski z przyjęcia odezwy, a zapewne odnaleźliby właściwą drogę do pracowania ku dobru wspólnej nam wszystkim ojczyzny.

„Odezwa“ doznała zarówno w Galicyi jak i w Poznańskiem przyjęcia gorzej niż nieżyczliwego. O przyczynach, które jej w Galicyi takie złe przyjęcie zgotowały, rozwodzić się nie mam zamiaru, zaznaczę tylko, że więcej niem kierowały względy stronniczo-polityczne, niż nieświadomość. Ale co do Poznańskiego, to złe przyjęcie tłomaczy się po prostu tem, że opinii publicznej pod zaborem pruskim rzucona została w postaci odezwy sfinksowa zagadka, do rozwiązania której w warunkach naszego bytu politycznego klucza wcale znaleść nie mogliśmy. — Odezwa pisana była w zastosowaniu do naszych stosunków tak, jakby list po chińsku do naszego chłopka.

Stwierdzamy to i podnosimy jeszcze raz z przyciskiem, że przyjęciem, jakiego doznała odezwa w Poznańskiem, nie kierowała ani krzta złej woli lub stronniczych pobudek, jakby to może autorowie odezwy przypuszczali.

Z tych sądów, z tej krytyki, na którą natrafiła u nas odezwa, bo — nie licząc się z warunkami naszego bytu — nie natrafić nie mogła, wyłania się jeden pewnik: że przedział, dzielący różne dzielnice Polski tak się pogłębił, iż przestają się już rozumieć.

Jest to wynik bardzo ważny, nad którym twórcy „Ligi“ poważnie zastanowićby się powinni, a bezwątpienia doszliby do rozwiązania niepojętego dla nich faktu, że w Poznańskiem odezwę ich uważano za dzieło jakiegoś nowego Baerensprunga.

Na niezgodne z prawdą puste przechwałki, że u nas Liga zdobywa coraz więcej zwolenników, ruszano ramionami, bo z samego ułożenia odezwy widać jak na dłoni, że Liga w Księztwie nietylko niema oparcia, ale że nawet w obrębie Ligi brak choćby jednego człowieka, mającego jakie takie wyobrażenie o naszych stosunkach. Zdaniem mojem w samo sedno trafił „*Orędownik*“, mówiąc: *Nie rozumiemy się.*

W istocie — nie rozumiemy się. Każda z dzielnic Polski żyje dziś życiem poniekąd odrębnem, wynikającem drogą konieczności z odrębnych warunków jej bytu. Otóż jeśli ktoś podejmuje usiłowania w kierunku zjednoczenia wszystkich trzech dzielnic we wspólnej pracy, powinien tę odrębność uwzlędnić, a nawet więcej niż uwzględnić: powinien ją przyjąć za punkt wyjścia dla całego swego programu. To, do czego w okresie lat najbliższych, w okresie, dajmy na to lat pięćdziesięciu, dążyć może Liga narodowa, jest szerzenie idei narodowej i demokratycznej.

Szerzenie to wymaga w Królestwie organizacyi tajnej, wymaga gorąco z patryotycznym patosem pisanych „tajnych“ i elektryzujących odezw — czego zresztą wymaga, usuwa się z pod mej krytyki — ale w zaborze pruskim budzenie świadomości narodowej wśród ludu i szerzenie idei demokratycznej odbywa się zupełnie jawnie. My i za pięćdziesiąt lat nie zdołamy może wyzyskać zupełnie możności jawnej pracy narodowo-społecznej aż do ostatnich granic, aż do ostatecznych granic, dozwolonych prawem. — Na nas „*odezwa*“ nie robi żadnego wrażenia, dlatego, że to nasz chleb codzienny. Weźcie pierwszą lepszą naszą gazetę z artykułem patryotycznym, przewieźcie ją do Królestwa, a zobaczycie, jak z miną spiskowców podawać sobie ją będą ludzie z ręki do ręki, jak się delektować będą zakazanym owocem. Ot i odezwa! My zaś tu w takie codziennie szynkę i bułki zawijamy.

Więc cóż z tego wynika za praktyczny wniosek? — zapytacie.

Wynika wniosek, że skoro u nas praca nad szerzeniem idei demokratyczno - narodowej już przyoblekła pewne formy, *należy się tylko starać o utrzymanie żywszej łączności społecznej i umysłowej pomiędzy dzielnicami i nic więcej.* My, Polacy, jesteśmy, niestety, narodem, który obce kraje, zagranicę, zna lepiej, niż swój własny. I dlatego też może nieznajomość Poznańskiego i wogóle zaboru pruskiego wśród mieszkańców innych dzielnic przechodzi wszelkie wyobrażenie. Podtrzymanie, lub wprost nawet wytworzenie jakiejś łączności, w tej lub innej formie, oto zadanie godne, aby na nie skierowali swe usiłowania ci wszyscy, co chcą dla Polski pracować. Poznańskie leży gdzieś jakby na uboczu od głównego traktu, przeciętny „inteligentny“ Polak widzi je co najwyżej z okien wagonu, nie spostrzega na stacyach, na których pociąg się zatrzymuje, ani śladu polskości i myśli z westchnieniem: ziemia mogił i krzyżów!

Dlaczego tak dziwnie rzadko się trafia, że jakiś młody agronom z Królestwa lub Galicyi odbywa praktykę w dobrach polskich w Poznańskiem? Dlaczego niezwykłym w dziejach dziennikarstwa poznańskiego faktem jest, żeby jakiś dziennikarz z Królestwa lub Galicyi, pracował, choć przelotnie, w naszej prowincyi? Dlaczego handlowe stosunki z Poznaniem są prawie żadne, a do naszych większych kupców z innych części Polski żaden ojciec syna na praktykę kupiecką nie daje? Wymiana ludzi pomiędzy Królestwem a Galicyą jest zupełnie inna, stokroć, tysiąc razy silniejsza; a ta wymiana ludzi prowadzi do podtrzymania łączności obu dzielnic, które się przecież znajdują też w odmiennych politycznych warunkach istnienia.

Tego nam trzeba: nam trzeba, aby inteligencya polska w innych dzielnicach zrozumiała, że pewnego rodzaju polityczną misyę, pewnego rodzaju posłannictwo spełnia ten, kto, wszystko jedno w jakim charakterze, wyzyskuje każdą sposobność zawiązania z nami stosunków. Z innych dzielnic powinienby i mógłby płynąć szeroką falą strumień drukowanego słowa, łącząc nas z ruchem umysłowym całej Polski, zespalając z całą Polską. Ale brak znajomości terenu, brak znajomości dróg, któremi wsiąka w lud nasz drukowane słowo, przyczynia się do tego, że w obliczeniach zakordonowych lub galicyjskich wydawców Poznańskie nie gra żadnej roli. A proszę mi pokazać drugą prowincyę polską, której lud tyle i tak chętnieby czytał! Wiecie, ile drukuje Miarka w Mikołowie egzem-

plarzy pism Słowackiego? Coś przeszło sto tysięcy!

Nie łączą nas te wszystkie więzy, jakie łączyćby powinny oderwaną od całości prowincyę polską. Wytwórzcie je najpierw, zwróćcie w tę stronę swą pracę — a póki tego nie zrobicie, nie dziwcie się, jeśli i w innych okolicznościach natraficie na taką obojętność, jak natrafiła „odezwa Ligi Narodowej.“

Vester.

Trzeba zmienić taktykę.

W „Juristische Wochenschrift“ ogłasza znany adwokat Wagner, niedawno jeszcze w Grudziądzu, dziś filar rządu pobocznego w Berlinie, w niemieckim języku co następuje:

Niemiecki Ostmarken-Verein pośredniczy w osiedlaniu się adwokatów w prowincyach wschodnich. Wnioski przesełać należy do biura towarzystwa, Berlin W., Kleiststr. 5.

Radzca sprawiedliwości
Wagner,
zastępca przewodniczącego
w niemieckim Ostmarken-Verein.

Zupełnie swobodnie i otwarcie występuje p. radca z swemi dążeniami germanizacyjnemi. Prawda, że jemu nic nie grozi, ba, nawet wszędzie zyska poparcie. Dlatego też jego otwartość heroiczną nie jest.

Ale nasze położenie wymaga heroizmu, a mianowicie heroicznej otwartości — nie ślepej, broń Boże, roztropność jest i przy heroizmie cnotą kardynalną — ale o ile obrona nasza otwartości i śmiałości wymaga.

Proponuję utworzenie towarzystwa *do wspierania polszczyzny w polskich dzielnicach!* Czemu nie mielibyśmy go utworzyć? Wszakże prawo nie sprzeciwia się. Na przeszkodzie stoi tylko nasz brak cywilnej odwagi.

A towarzystwo takie jest nam koniecznie potrzebnem.

Obrona nasza powinna stać się wogóle o wiele jędrniejszą i śmielszą. Czas skończyć z polityką potulności we wszystkich stosunkach naszego obronnego wojowania.

Tysiące rzeczy, krzyczących o pomstę do nieba przechodzi niepostrzeżenie. Omawia się je w owej wsi lub w owem mieście, gdzie się wydarzają. Ale nikt ich nie spisuje i nikomu do stósownego zużycia nie przeseła. Posłowie ku temu nie starczą. Nie ma miejsca, gdzieby to wszystko składać i zkąd branoby zachętę i naukę ku obronie.

Takie miejsce jawne, pewne, podniecające do obrony i ośmielające słabych i wątpiących ogromnie by wiele zrobiło dobrego.

Panowie ministrowie powtarzają co chwila: „My nic nie wiemy, nic nam nie donoszą, a jeżeli się dowiemy, karcimy samowolę“. Otóż gdyby ministrowie wiedzieli dziesiątą część tych krzywd, jakie nam urzędnicy na wszystkich polach naszego życia sprawiają — i gdyby karcić chcieli to wszystko, co człowiek cywilizowany za krzywdę uzna we wszystkich krajach świata, potroić musieliby liczbę radców ministeryalnych, a ci całemi dniami pisywaliby, uchwalali i referowaliby w sprawach krzywd naszych.

A więc dajmy panom ministrom ową wiedzę! Wszakże sami o nią proszą.

Jeżdżąc po jakiejbądź części dzielnic naszych od czasu powstania hakatyzmu a jeszcze więcej od czasu wydania owej niezwykłej uchwały całego ministeryum, że urzędnicy w wschodnich prowincyach państwa powinni pamiętać, że powołani są wypełniać także zadania *państwowe*, dowiadujemy się od naszych braci rzeczy zupełnie wiarogodnych, na które serce i umysł zarówno się wzburzają. A spytać się, no, a użaliliście się, donieśliście do gazet? — odbiera się odpowiedź przeczącą. Wszyscy milczą, cząstka tylko użala się lub pisze do przyjaciela redaktora.

Publiczność nasza tak się przyzwyczaiła do niesprawiedliwego traktowania, że cierpi i milczy w regule. I ten sam Polak, który znany w świecie był z gotowości skoczyć do oczu samemu djabłu — popadł w przeciwieństwo — słowiańską cierpliwość znoszenia katuszy.

Otóż musimy dążyć do zmiany w sposobie obrony i musimy się daleko więcej i daleko śmielej bronić — aby nie zginąć.

Sam rozsądek tak każe: gdyż ogromna ilość nieprawości dlatego się dzieje, bo się w *cichości* dzieje.

Oni mówią: do Polaków trzeba tylko śmiało i ostro, a struchleją. Oni się mylą. Nawet obecni onieśmieleni Polacy przycichnąć mogą, ale sprawy nie popuszczą. Ale z nimi napewno jest tak. Tylko śmiało i ostro i nie popuścić — a okaże się, że tchórz siedzi na dnie butnego serca.

Ale musimy mieć instytucyą, do której się zawsze z ufnością udaćby można, która zawsze poprze i pomoże.

Czy nie stać nas na nią?

Powinniśmy mieć ludzi, którzy wszystek materyał zbierają i porządkują i rad udzielają i materyał zużytkują. Czy nie ma już miennych, wykształconych a ofiarnych zarazem między nami, lub czy apatya tak nas sparaliżowała, że nie umiemy ożywić się i dostosować taktyki do nowych wymagań chwili? Czy nie ma między nami żadnego miennego prawnika, któryby porzucił stanowisko, a zajął się utworzeniem instytucyi, o jakiej mówię?

Jakżeż my się licho bronimy! Porównajmy się nieco z Burami! U nas szara jednostajność słabiutkiego animuszu i tylko redaktorzy wysilają się i przedstawiają zapasy nasze w jaskrawszych kolorach, by obronić godność narodową.

Powtarzają nam ciągle: obrona nasza winna się obracać w granicach prawem nakreślonych! Ale naturalnie. Tylko to złe, że do *granic* nie dochodzi. Przypomina się gryząca ironia Słowackiego w „Grobie Agamemnona“:

„Na Termopilach jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą?
I pokazali mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: „Wielu Was było“?
Zapomnij, że jest długi wieków przedział —
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział“?

Szanowny czytelniku! Nie sam tylko ból, nie samo uczucie miłości narodu włożyły mi powyższe uwagi w usta — ale głównie przekonanie, spokojne, gruntowne przekonanie, że musimy zmienić w powyżej podany sposób naszą taktykę, *aby nie uledz!* *Jurysta.*

Nie bądźmy Beocyą!

II.

„Drożyzną pokarmu duchowego“ nie wolno nam się zatem zasłaniać ani uniewinniać; mamy tanich książek aż nadto, gdy zaś wogóle książek więcej kupować będziemy, wszystkie wydawnictwa stanieją. Co więcej! Znacznemu zastępowi młodzieży naszej otworzymy nowe pole pracy i damy możność stworzenia sobie

niezawisłej a donośnej egzystencyi. Mamy tu na myśli *księgarstwo* i połączone z niem zawody — jak np. introligatorstwo. Ta gałąź handlu stale niestety upada i to chyba właśnie najlepszy dowód, że społeczeństwo *za mało* kupuje książek. Fakt to smutny, ale prawdziwy, że liczba księgarń u nas właściwie się zmniejsza, a te, które jeszcze utrzymać się mogą, wiodą żywot nieomal suchotniczy, wegetują zaledwie w całem tego słowa znaczeniu! A przecież nie tak dawne to czasy, gdy Księstwo na polu księgarstwa, i to nietylko *sortymentowego*, detalicznego, ale także *wydawniczego, nakładowego przodowało całej Polsce!* Przez długie lata księgarnia *Żupańskiego* w Poznaniu nie miała równej sobie. Nakładem jej wychodziły prawdziwie pomnikowe dzieła naszej nauki, naszego piśmiennictwa pięknego czyli belletrystyki. Obok niej zaś istniały inne, istniały także poważne zakłady, jak *N. Kamieńskiego i Sp.* w Poznaniu, *Ebbeckego i Langego* oraz wiele innych. Autorowie polscy, i to najsławniejsi, szukali nakładców przedewszystkiem w *Poznaniu* lub innych miastach Księstwa — a interes wydawniczy musiał się wówczas dobrze opłacać, jeżeli nawet dużo Niemców i żydów rzucało się na polskie wydawnictwa. Wymienimy tu tylko *Merzbacha*. Dziś interes ten upadł u nas zupełnie — zabrała go nam *Warszawa*, zabrał *Lwów* i *Kraków*.

Ten i ów odpowie nam na to, że inne to były czasy, większa u nas swoboda narodowa i językowa, że w szkołach wówczas, nawet w gimnazyach językiem wykładowym był po części polski, albo też zawsze jeszcze w planie nauk poważne zajmował miejsce. Naszem atoli zdaniem na tę przyczynę upadku księgarstwa u nas zwalać nie można, uniewinnia ona i tłomaczy jedynie upadek polskich wydawnictw *szkolnych*. Obok tych atoli wychodziły w Księstwie setki książek, które z potrzebami *szkoły* nic nie miały wspólnego, książek dla dorosłych, dla starszych. Zresztą i w Warszawie panują w szkolnictwie oddawna już podobne stosunki jak u nas, a jednak — mimo to księgarstwo nakładowe tam się wzmaga — u nas zaś upadło. Głębsza tedy zachodzić musi tu przyczyna — a może nią być rzeczywiście tylko upadek umysłowego życia naszego społeczeństwa.

Gdy znikły szkoły polskie — pozostali przecież *Polacy*; nie mając zaś szkół polskich tem więcej garnąć się powinni w domu, w rodzinie do książek polskich, tem więcej ich kupować, aby brak szkoły uzupełnić, usiłowania germanizatorskie szkoły sparaliżować. To właśnie byłoby *logicznem* następstwem wykluczenia języka polskiego ze szkoły — tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie.

To też każdy, kto bacznie śledził tę stronę naszego życia duchowego, przyznać musi, że coś innego zupełnie spowodowało upadek naszego księgarstwa, upadek naszego ruchu wydawniczego — i że tą *właściwą przyczyną* smutnego objawu tego był *upadek szlachty!* Tak jest! Dawniejsze kwitnące interesy księgarskie żyły i utrzymywały się wyłącznie z szlachty. *Jan Konstanty Żupański* — zabierając się do nowego poważnego wydawnictwa, nie trwożył się o jego powodzenie. Wiedział z góry — zwłaszcza, gdy chodziło o wydawnictwo dobre, znanego autora, że skoro tylko ogłosi wydaną książkę, w lot rozbierze mu szlachta conajmniej 500 do 1000 egzemplarzy; te zaś pokryją koszta tak, że reszta nakładu będzie już czystym zyskiem dla niego; resztę tę zaś brały dwa inne zabory. Upadłe u nas rody i rodziny szlacheckie dużo grzeszyły, to prawda, ale jedną z najlepszych ich stron było zawsze chętne i gorące popieranie ruchu wydawniczego, piśmiennictwa u nas. W miarę tedy, jak ubywało rodów i domów szlacheckich na wsi, upadał także interes księgarsko-wydawniczy, aż wreszcie dziś upadł do wręcz zawstydzającego poziomu.

Dawniej pomocnik księgarski z Księstwa miał przed sobą piękną przyszłość, cała Polska stała dla niego otworem, wszędzie przyjmowano go z otwartemi rękoma, bo dobrą tu szkołę prz echodził znakomitą ztąd wynosił praktykę i znajomość zawodu. Z drugiej znów strony młodzież księgarska dwóch drugich zaborów uważała sobie za zaszczyt, za warunek nabycia potrzebnych wiadomości, pracować chociaż przez pewien czas u „starego“ Żupańskiego, albo i później jeszcze u Mieczysława Leitgebra. Jedno i drugie ustało u nas zupełnie. Nasi księgarze skarżą się wprost na brak adeptów swego zawodu, gdyż z młodzieży naszej nikt nie chce się dziś poświęcać temu zawodowi, widząc, jak licho się opłaca.

Mieszczaństwo nasze niestety dziś jeszcze nie wypełnia tego ubytku, jaki księgarstwu zgotował upadek szlachty. Biblioteczki domowe, chociażby najskromniejsze w domach mieszczańskich, należą u nas jeszcze do niesłychanie rzadkich widoków, i co do tego zarzut przeciwko nam podniesiony w owem piśmie warszawskiem jest zupełnie słuszny. W budżecie zamożnego domu mieszczańskiego nie ma najczęściej nawet drobnej pozycyi na książki, i jeżeli się coś kupuje, to tylko przypadkowo, dorywczo, coś sensacyjnego, głośnego, najczęściej jeszcze... jaką broszurę polityczną. O systematycznem zakładaniu bibliotek domowych, o tem, aby zawierały przedewszystkiem porządną *historyą polską, historyą literatury, pisma naszych klasyków* i t. d. nie ma zwykle mowy. A przecież jedynie z *takich* bibliotek korzystać może młodzież, nabrać miłości do przeszłości swej, do swego piśmiennictwa, wykształcić serce i umysł w rodzinnym duchu i zetrzeć polor obcy, którym jej umysł sztucznie pokryto w szkołach. Tylko takie biblioteki mogą się stać rozsadnikami zdrowego rozwoju umysłowego w kierunku rodzinnym w naszem skołatanem społeczeństwie, tylko takie biblioteki mogą zapobiedz coraz większemu *psuciu* naszego pięknego języka — coraz straszniejszej i boleśniejszej *mimowolnej* germanizacyi pod wpływem stosunków politycznych i społecznych.

Nie wystarcza tedy, gdy ktoś się chełpi: Przecież kupiłem to i owo, czy to nie dosyć? Bynajmniej! Każda rodzina powinna w budżecie swoim z góry na rok cały wyznaczyć sobie stały budżet na książki, tak jak się to robi na rozmaite środki pożywcze *cielesne* i z budżetu tego zakładać biblioteczki domowe systematycznie i systematycznie je uzupełniać corocznie najlepszemi dziełami naszego piśmiennictwa. Wówczas to i księgarstwo odżyje u nas i księgarze nasi nie będą potrzebowali narzekać, że nie tak to dzisiaj, jak dawniej, „gdy szlachty było dużo i miała pieniądze!“

Zawstydzającem też wprost dla naszych warstw średnich jest rozwój duchowo-umysłowy *naszego ludu*. Księgarnie nasze głównie też dziś *z ludu* żyją, *z wydawnictw ludowych* i o tem pomówimy obszernie w trzecim artykule.

X.

Z TYGODNIA.

Czesi zajęci są w ostatnim czasie mocno projektem utworzenia czeskiej „rady narodowej“, której zadaniem byłoby przeprowadzenie zasady politycznego i językowego równouprawnienia, wywalczenie praktycznego uznania prawa historycznego Czech, a wreszcie zajęcie się gospodarczym i socyalnym rozwojem kraju. Wejść mają do niej posłowie czescy do sejmów: czeskiego, morawskiego i szląskiego, czescy posłowie do rady państwa i czescy członkowie izby panów, delegaci stronnictw: młodoczeskiego, staroczeskiego, radykalno-postępowego, prawnopaństwowego, chrześciańsko-socyalnego i katolickiego, delegowani Pragi czeskiej, przedstawiciele czeskiej mniejszości i czeskiej prasy.

Dzień 5-go marca był „wielkim“

w parlamencie angielskim. Opozycya uchwalała pospiesznym marszem olbrzymie kredyty, żądane przez kanclerza skarbu Hick-Beacha na cele wojny. Cyfry tych żądań były przecież niebywale wielkie: kanclerz skarbu przeznacza 60 milionów funtów sterlingów na koszta wojny z Transwaalem i żąda upoważnienia do zaciągnięcia pożyczki w sumie 43 milionów funtów ster., która dlatego tylko szczupleje do 35 mil., że osiem już skarb w drodze operacyi wewnętrznej podniósł. I olbrzymie te cyfry nie przerażają nikogo: Wiliam Harcourt i Campbeell-Bannermann spieszą pierwsi z patryotyczną ofiarą, zastrzegając się tylko, że nie zamierzają dzielić się odpowiedzialnością za politykę rządu, która Anglię w otchłań wojny wtrąciła.

Wiadomość o poddaniu się armii gen. Cronjego oddziałała przygnębiająco na resztę sił wojennych. Około pięciu tysięcy Boerów z Natalu, którzy stanowią jądro sił boerskich zgromadziło się w okolicy Bloenfonteinu, aby stoczyć jeszcze jedną walkę, a w razie przegranej, cofnąć się w granice Transwaalu.

Jasnem jest, że Niemcy dlatego odmawiają wszelkiej pomocy Boerom, bo zobowiązały się do neutralności w traktacie zawartym z Anglią. Ponieważ zaś żadne inne państwo prócz Niemiec nie ma jakichkolwiek interesów w Afryce, więc też Boerom znikąd pomoc przyjść nie może do zwalczenia najazdu angielskiego. Przypuszczano dotychczas, że Rosya skorzysta z trudnego położenia Anglii i zechce zniszczyć wpływy angielskie na dalekiej Azyi. Rząd angielski, nie mając możności postawienia w Indyach wojska angielskiego, uzbroił legiony, z krajowców złożone, w najnowszą i najdoskonalszą broń palną. Krok ten rządu angielskiego jest bardzo niebezpiecznym, bo krajowcy przeciw Anglikom łatwo tę broń zwrócić mogą. Podobno rosyjski minister wojny, Kuropatkin miał doradzać carowi, aby wojskami swemi obsadził Afganistan, car jednakowoż, wierny swej pokojowej idei, naruszyć swej bezstronności nie chciał.

Rząd niemiecki, który zrazu z takim tryumfem zapowiadał bezwarunkowo pewne przeprowadzenie planów powiększenia marynarki, jak się pokazuje, nie ma jeszcze za sobą większości. Centrowcy domagają się od rządu nowej ustawy wyborczej miejskiej, konserwatyści zaś żądają ceł na zboże zagraniczne. Przeciw temu są narodowo liberalni i wolnomyślni, tak że absolutna większość dotychczas wytworzona nie została. Rząd jednakowoż sądzi, że uda mu się przeforsować ustawę a to pod naciskiem powszechnego zdania ogółu, które oświadczyło się stanowczo za powiększeniem marynarki. Sądzimy, że rząd pod tym względem się łudzi, bo coprawda nie byłoby nic dziwnego, jeśliby na wielką skalę rozwinięta agitacya „marynarkowa“ z ramienia rządu — zdołała niejednego ogłupić, ale agitacya ta wywołała tylko więcej hałasu, adresów i petycyi, niż w istocie rzeczy odpowiadałoby to usposobieniu narodu. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Towarzystwo ludowe w Kartuzach zamierzało dnia 18 lutego urządzić amatorskie przedstawienie. Na tydzień przed terminem doniesiono o tem miejscowemu wójtowi, tymczasem dopiero 22 lutego nadeszła odpowiedź, która według **„Gazety Gdańskiej“** brzmi:

„Na podanie z dnia 13 b. m. dotyczące odegrania polskich sztuk „Przegrał wojnę“ i „Fatalna szafa“, donoszę, iż udzielenie pozwolenia jest niemożliwem. Zarządzone przezemnie zbadanie sztuk teatralnych wykazało, iż zachodzą w nich ustępy, zawierające wyszydzenie (!?) niemczyzny i nadające się do podburzania (!?) polskiej ludności przeciwko niemieckiej. Tutejsze polskie Towarzystwo ludowe jest towarzystwem politycznem (!!). Jako takiemu wogóle według prawa nie może być udzielone żądane pozwolenie (!!?) zaś do pozwolenia na taniec, to muszę odmówić ze względu na często tu nadarzającą się sposobność do brania udziału w zabawach z tańcami. Wójt.“

Korespondent, który donosi o tem „Gazecie Gdańskiej“, dodaje, że amatorowie zamierzają w drodze skargi upomnieć się o zwrot kosztów powstałych wskutek tego zakazu i dlatego proszą o uwiadomienie, gdzie owe sztuki już były grane bez protestu ze strony policyi.

Zdaje się, że policya pruska wydając taki zakaz, doszła do ostatecznych granic przesadnej obawy przed ruchem polskim, a wójt kartuzki zasłużył sobie na miejsce obok tego wójta, co to mu się drzwi w niewłaściwą stronę otwierały i dlatego Niemcom pozwalał na zebrania a Polakom nie.

O tym szczególniejszym pomyśle wójta w Kartuzach pisze **„Gazeta Opolska“**, której analogiczne wypadki na Szląku dobrze są znane:

„Pojąć rzeczywiście trudno uzasadnienie zakazu. Odmowną odpowiedź opiera pan wójt na domyśle, iż projekt urządzenia przedstawienia wyszedł z łona Towarzystwa ludowego, co nie zgadza się z prawdą, gdyż wielu z amatorów, mających występować w owem przedstawieniu, wcale do Towarzystwa nie należy. Ale chociażby nawet i należeli, to czy towarzystwom politycznym nie wolno urządzać przedstawień amatorskich? — A przecież p. wójt tak twierdzi. — Naszem zdaniem — na urządzenie takiego przedstawienia nie potrzeba nawet pozwolenia, tylko pojedyńczego poświadczenia, iż takowe na czas zameldowane zostało. Jeżeli zaś policyi treść tej lub owej sztuki się nie podoba, to powinna też na czas o tem urządzającego przedstawienie powiadomić, a nie 4 dni po oznaczonym terminie.

„Co do urządzenia zabawy z tańcami w zamkniętem towarzystwie, a o takie tu chodziło, to na to wcale a wcale pozwolenia nie potrzeba, należy tylko żądać poświadczenia, iż zabawa została zameldowaną. Zabawę taką wolno urządzać każdemu, a jeżeli się ją urządza w publicznym lokalu, to policyi przysługuje prawo zakazu tylko wtedy, jeżeli lokal nie odpowiada odnośnym przepisom budowlanym lub zdrowotnym. Z innych względów policya zabawy zakazywać nie ma prawa.

„Urządzający przedstawienie w Kartuzach słusznie sobie postąpią, jeżeli przejdą wszystkie instancye, a następnie wytoczą proces cywilny o zwrot powstałych kosztów.“

Dziwne — nie chcemy inaczej powiedzieć — postępowanie władz pruskich do ostatecznego rozgoryczenia prowadzi ludność polską. Gdy bowiem nasz lud polski, jak się przekonać łatwo z powyższego, nawet na godziwą zabawę sobie pozwolić nie może bez narażenia się na posądzenie o polityczne zdrożności, skądże rząd pruski chce w nas mieć obywateli pruskich?

Z mlekiem matki wyssaliśmy wstręt i obrzydzenie do rządów, które rozdarły Polskę, a rząd pruski stara się, aby swemi środkami obrzydzenie to w nas umocnić i utwalić.

Lecz niedość tego, że bawić się nam nie jest wolno — ale pracować nam nie dają! Oto co czytamy w **„Dzienniku Poz.“**

„Tutejszy mistrz rzeźnicki p. Falkiewicz, zamieszkały przy ul. Szerokiej, otrzymał od prezydenta policyi, pana Hellmanna, pismo, które w tłomaczeniu brzmi: „Przyjąłeś pan 25 stycznia poddanego rosyjskiego, czeladnika rzeźnickiego Jana Bryłkę. Stwierdzono, że Bryłka jest Polakiem. W myśl obowiązujących przepisów nie wolno zatrudniać czeladników ani uczni obcokrajowych. Wzywam pana przeto, abyś pan Bryłkę wydalił do 1 marca r. b. W razie niezastosowania się do tego rozkazu, zostaniesz pan skazany na zapłacenie 15 mk. kary, a w razie niemożności zapłacenia na czterodniowe więzienie. Hellmann.“ — Pan Bryłka zaś otrzymał takie pismo: „W myśl obowiązujących przepisów obcokrajowcy polskiego języka i pochodzenia nie mogą być zatrudniani w rzemiośle w dzielnicy poznańskiej. Ponieważ stwierdzono, że pan zaliczasz się do polskiej narodowości, przeto powiadomiłem pańskiego chlebodawcę, p. Falkiewicza, żeby pana wydalił z roboty do 1 marca r. b. Wzywam pana, żebyś do oznaczonego czasu pracę porzucił, a w przeciwnym razie wydalony zostaniesz za granicę przymusowo. Hellmann.“ — Dodajemy, że p. Jan Bryłka, liczący lat 26, u p. Falkiewicza wyuczył się rzemiosła.“

Jeśli podobne postępowanie władz z Polakami wywołuje w nich rozgoryczenie i niechęć przeciw rządowi, naturalny to wynik, który rządowi nieznanym być nie może; niezbyt mu będzie wszakże pożądanym, jeśli dąży do cywilizacyjnych celów, fakt, że władze same czynią niemożliwem jakiekolwiek współdziałanie obydwóch narodowości.

W **„Dzienniku Kujawskim“** czytamy:

“Katolickie Towarzystwo nauczycieli na Poznań i okolicę, rozwiązało się na walnem zebraniu dnia 24-go b. m., na które z 24 stawiło się 18 członków. Wniosek odnośny stawił zarząd sam, motywując go tem, że liczba członków wskutek niechęci władz do tegoż Towarzystwa nieustannie się zmniejszała, a młodzi katoliccy nauczyciele, do Poznania przybywający, wstępują do Towarzystwa bezwyznaniowego. Mianowicie Niemcy, idący początkowo z Polakami ręka w rękę, wycofali się w końcu prawie zupełnie, gdyż ich tylko w końcu dwóch członkami pozostało.

„Na wywody X. prebendarza Klinkego i jednego obecnego emeryta przeciw rozwiązaniu, starano się mówców przekonać, co też się w końcu powiodło, iż nauczyciel, chcący sobie zaskarbić choćby najmniejsze względy rejencyi, nie może należeć do Towarzystwa katolickich nauczycieli, i że po wystąpieniu ostatnich dwóch członków Niemców rejencya nie pozwoliłaby na dalsze istnienie Towarzystwa, składającego się z samych nauczycieli Polaków.

„Po tych wywodach uchwalono jednogłośnie Towarzystwo rozwiązać, lecz w protokóle umieścić, że wniosek o rozwiązanie stawił zarząd, nie zaś członkowie, i że powód do rozwiązania dają Niemcy, wycofując się z Towarzystwa.

„Majątek Towarzystwa, z książek się składający, wylosowali członkowie między sobą, muzykalia ofiarowano Towarzystwu niemieckiemu, a gotówkę przeszło 33 marek przekazano „Straży św. Józefa“.

Powyższy wypadek powinienby dać dużo do myślenia panom ministrom. Ale cóż robić, kiedy ci panowie zamiast wprost z życia i doświadczenia wolą odczytywać wycinki z gazet polskich w tendencyjnem tłomaczeniu Hakaty!

Oparta na obłudzie polityka wewnętrzna Prus tą samą obłudą się rządzi i w zewnętrznych stosunkach.

Bardzo dobitnie pokazuje się to na stosunku Niemiec do Boerów. Jak przed stu laty zdradziecko rozgrabiono Polskę przy czynnym udziale jednych, a biernym udziale drugich mocarstw, tak dziś dzieje się to z Boerami wobec „szlachetnych sympatyi“ Prus. Gdy Boerów napadł Jameson z pozbieraną z pod ciemnej gwiazdy hałastrą, Niemcy cieszyły się mocno ze zwycięztwa Boerów. Dziś cieszą się ze zwycięztwa Anglików. Zupełnie tak samo jakby winszować ocalenia przyjacielowi, którego pies chciał ukąsić; winszować zaś zbójowi zwycięztwa, który przyjaciela zamordował. W tej sprawie piszą do **„Germanii“**:

„Ależ na miłość Boską, czyż w całej prasie nie podniesie się żaden głos, że przedewszystkiem Niemiec pierwszem i głównem zadaniem jest utrzymanie samodzielności afrykańskich rzeczypospolitych, wzmocnienie ich, aby w państwach tych mieć przeciwwagę przeciwko polityce Angli w Afryce. **Zniszczenie Polski** było według zdania Napoleona I-go wielkim politycznym błędem popełnionym przez Europę zachodnią; sytuacya obecna jest tamtej podobną. Anglia pięknie się wywdzięczy Niemcom za ich przesadne dla Anglików sympatye, lub za ich niedołęstwo. — Niemieckie kolonie afrykańskie odczują to ciężko. Anglia zagnieździła się na Zanzibarze, (Niemcy za to otrzymały Helgoland, pozycyą wątpliwej wartości strategicznej) i otacza niemieckie posiadłości afrykańskie. Kto wie, czy Niemcy, pozwalając na to zgnębienie Boerów, nie pozbawiają się najsilniejszych sojuszników“.

Gdy Polska się broniła przed rozbiorami jedni też grabili, a drudzy, pełni szlachetnych sympatyi - patrzyli z założonemi rękoma. *B. M.*

Korespondencya z Galicyi.

W poprzednim moim liście nadmieniłem o poważnych rozmiarach ruchu wychodźczego z Galicyi; należy dziś słów kilka poświęcić przyczynom wychodźtwa z Galicyi i, jednem słowem, rozpatrywać je jako doniosły objaw społeczny — na tle naszej ogólnej gospodarki ekonomicznej, a raczej — powiedzmy otwarcie — braku gospodarki. Fakt faktem, że Galicya przy swych naturalnych bogactwach mogłaby, powinnaby zatrudnić wszystkie ręce, chcące pracować; tymczasem właśnie w tej, skądinąd bogato darami przyrody obdarzonej, dzielnicy Polski stosunki zarobkowe są niesłychanie złe. Przypisać to należy mianowicie krótkiemu okresowi pracy przy roli, brakowi przemysłu fabrycznego, a co z tem iść musi w parze — bardzo niskim płacom, które aż do 25 ct. za dzień dochodzą.

Do pogorszenia stosunków zarobkowych u nas w porównaniu ze stosunkami panującemi w innych krajach przyczynia się niemało brak przemysłu domowego, który mógłby robotnikowi dostarczyć sposobności zarobkowania w porze, gdy rolnictwo mu jej nie dostarcza.

Te więc okoliczności: nizka płaca, krótki czas zarobkowania i brak przemysłu domowego składają się na wytworzenie złych warunków bytu w klasie robotników rolnych.

Wręcz odmienną postać mają stosunki zarobkowe za granicą, mianowicie na Szląsku, w Hanowerskiem, w Saksonii, a wreszcie w Poznańskiem. Tam rozwój przemysłu absorbuje wszystkie siły miejscowe, lub (jak to widzimy w Poznańskiem) pobudza je do emigracyi w strony, gdzie przemysł się rozwija. Wytwarza to brak robotnika rolnego, a w następstwie — dość wysoką cenę pracy. Intensywny system gospodarstwa rolnego, który spotykamy w tych prowincyach, daje możność zatrudniania robotnika przez większą część roku. Jak wiadomo z urzędowych komunikatów władz pruskich już od 1-go marca zaczynają granicę przechodzić pierwsze partye robotników sezonowych, wracają zaś nieraz 1-go grudnia, ten bowiem termin oznaczyły władze pruskie jako ostateczny kres dozwolonego przebywania w Niemczech. A więc nietylko dobra płaca, ale ośm miesięcy trwająca praca.

Wobec tego należy uznać w wychodźtwie do Niemiec objaw zupełnie naturalny, wynikający z warunków wewnętrznych i zewnętrznych. Emigracya ta — to poprostu ruch żywiołowy, którego żadnemi półśrodkami policyjnemi zwalczyć, ani nawet dowolnie ograniczyć się nieda. Owszem, zachodzi obawa, że jeśli Rosya, dla której wychodźtwo z Królestwa Polskiego nie jest pożytecznem, zamknie granicę zachodnią, sama Galicya będzie musiała zaopatrywać wspomniane powyżej prowincye niemieckie w robotników rolnych. Spodziewać się zatem można raczej podniesienia się niż zmniejszenia wychodźtwa.

Przyjrzyjmy się, choć pobieżnie, skutkom wychodźtwa dla całego kraju, dla poszczególnych klas ludności, jak niemniej i dla wychodźców samych. Jak każdy prawie objaw ekonomiczny natury złożonej wychodźtwo najrozmaitsze ma skutki. Najboleśniej dotyka ono klasę większej własności ziemskiej.

Najgłośniejsze jednak skargi tej klasy nie byłyby dla wyrzeczenia sądu o wychodźtwie miarodajne, ponieważ i klasa robotników rolnych, jakeśmy wykazali powyżej, ma wszelkie prawo uskarzać się na złe warunki bytu i ucieka się do wychodźtwa, jako ostatniego ratunku. Miarodajnem jest jednak to, co te obie klasy łączy w jedną całość — mianowicie interes kraju.

Galicya jest krajem stosunkowo dość rozległym, a różnice zachodzące w gęstości zaludnienia dość znaczne, aby wytworzyć pewien proces wyrównania sił roboczych. Zachodnie mianowicie powiaty, jako lepiej zaludnione, dostarczać powinny z natury rzeczy powiatom wschodnim sił roboczych, dostarczać ich jednak nie mogą, ponieważ zapotrzebowanie z zagranicy wyciąga z zachodnich powiatów wszystkie siły robocze. Rolnictwo krajowe ponosi wskutek tego niewątpliwą szkodę, a wraz z niem kraj cały.

Przyjrzyjmy się teraz, jakie to korzyści wynikają z wychodźtwa.

Nie chcemy przeczyć, że wędrówka po obcych krajach ma swój wpływ kształcący umysł; widzimy też nieraz ludzi, którzy tym właśnie wędrówkom za chlebem zawdzięczają, że im się w głowach rozjaśniło. A komuż to, jeśli nie naszemu ludowi potrzeba dużo ludzi rozumnych, ludzi, którzy widzieli na świecie coś więcej prócz swych rodzinnych kątów. Ale czy te spełniają pod tym względem cel jakiś? czy dają sposobność przeciętnemu wychodźcy do skorzystania pod względem umysłowym? Chyba w wyjątkowych razach, bo w większości wypadków prowadzą one tylko do rozluźnienia obyczajów, do nieporządnego, niestałego, koczowniczego życia i do oderwania jednostek od pnia macierzystego; nie trzeba bowiem zapominać, że ludzie tak samo jak i drzewa, aby dojść do czegoś, aby spełnić jakieś przeznaczenie, muszą wrócić w otoczenie jak drzewa korzeniami w ziemię — a życie koczownicze jest życiem z dnia na dzień.

To jeden wzgląd. Drugi wzgląd jest ten, że pod względem narodowym niepożądane wyniki ma wychodźtwo sezonowe. Wychodźcy zatracają poczucie spójności z krajem, do którego przecież należą, germanizują się zarówno pod względem ducha, jak i pod względem języka. Jak nam donoszą zgodnie różni korespondenci z podgórskich powiatów, lud po powrocie z Niemiec mówi jakiemś łamanem narzeczem, w którem co

trzecie słowo to wykoszlawiony wyraz niemiecki.

Tymczasem w sobie Galicya nie jest w stanie znaleść lekarstwa na wychodźtwo sezonowe sił roboczych — i złe to rokuje nadzieje na przyszłość tego kraju.

K. R.

Głosy od Przyjaciół.

Z prowincyi.

Szanowna Redakcyo „Pracy“!

Interpelacye posłów naszych w sprawie przenoszenia urzędników polskiej narodowości w głąb Niemiec zbywano dotąd lakonicznie z ław ministeryalnych z oświadczeniem, że rugi te dzieją się ze względów służbowych. Podobną odpowiedź zwykł był dawać zmarły naczelnik poczt i telegrafów, sekretarz stanu dr. Stephan. Zaznaczyć jednak wypada, że za jego rządów przenoszono w zachodnie strony Niemiec prawie wyłącznie tylko młodszych urzędników pocztowych, nie zajmujących jeszcze etatowych posad; tych zaś po kilkoletnim pobycie w obcych obwodach ustanowiano w miarę możności i wakujących posad w rodzinnych stronach. Stósowano się wtedy jeszcze do obowięzujących przepisów, aby zatrudniać w wschodnich dzielnicach dostateczną ilość urzędników władających językiem polskim; uważano za konieczność przeznaczać do służby przy okienkach pocztowych urzędników mogących się porozumieć z ludnością polską, nie władającą językiem niemieckim. Przestrzegano naonczas zasad, że poczta, to nie istytucya polityczna, lecz przeznaczona dla komunikacyi z całym światem, której zadaniem służyć wszystkim zarówno. Dziś atoli, gdy prąd antypolski ujął za sobą szerokie warstwy społeczeństwa niemieckiego, gdy na skinienie nieprzejednanego wroga Polaków zawiązało się towarzystwo takich Hanse-Kene- i Tiedemanów, wywierające na koła rządowe niestety tak silny wpływ i na poczcie odmienne zapanowały stosunki. Cóż się bowiem dzieje za rządów obecnego naczelnika poczt i telegrafów p. Podbielskiego?

Z wiarogodnej strony zapewniają nas, że wywiadywano się za pomocą organów policyjnych o pozasłużbowych stosunkach poszczególnych urzędników pocztowych; zasięgano zwłaszcza języka, czy urzędnik odnośny posługuje się w domu z rodziną językiem polskim, w jakich towarzystwach przebywa, czy wyłącznie w polskich itd.; w miarę i jakość zebranego *materyału* dekretowono o przyszłym losie *podejrzanego* urzędnika. Podług obowiązujących dotąd przepisów winny być wszelkie telegramy przyjmowane w języku polskim; wszelkie przesyłki mogą być zaopatrzone napisem w języku polskim. Lecz jak sobie postępują nasi przemysłowcy i szerokie koła zupełnie od rządu niezależne, właściciele ziemscy itd.? Telegramy wysyłają w języku niemieckim lub francuskim wprawdzie z tego powodu, że jest nieraz niepodobieństwem domyśleć się znaczenia spaczonego przez urzędników niemieckich telegramu polskiego. Lecz pocóż ta powolność? Korzystajmy z przysługujących nam praw w całej pełni, a na każde spaczanie telegramu polskiego lub opóźnienie przesyłek z napisem w języku polskim użalajmy się bezwzględnie do naddyrekcyi poczty lub wprost do głównego urzędu w Berlinie. Wtenczas się miarodawcze koła przekonają, że niezbędnem jest zatrudnianie na wschodnich kresach dostatecznej liczby urzędników pocztowych, władających językiem polskim, a rugi Polaków na poczcie ustaną.

Widz.

Bismark w Poznaniu.

(Fantazya na czasie.)

Minęło dwa lata od chwili, gdy w umysłach szowinistycznych Prusaków pojawiła się myśl postawienia w Poznaniu pomnika temu, który przez całe swoje życie dążył do tego, aby nieszczęśliwemu, pozbawionemu swobody narodowi polskiemu postawić krzyżacką swą stopę na piersi i upokorzyć — zdusić ofiarę... Przeszło dwa lata — i stanął pomnik Bismarka na Wilhelmowskim placu*). Z wysokiego cokółu swego spoglądał spiżowy kirasyer ponurym wzrokiem na miasto. Rdza osiadała na jego sercu, bo widział, że jak za jego życia, tak i po jego śmierci Polacy pozostali Polakami. Nie pochłonęła ich komisya kolonizacyjna, ani policya przez niego wytresowana, ani kulturkampf, ani szkoła pruska, ani hakata. Ponuro więc patrzył na miasto, na gromadki ludzi, rozmawiające nienawistnym mu językiem, na szyldy z napisami polskiemi, na chłopca, co roznosił gazety polskie, na gromadę dzieci, co na pobliskim placyku bawiła się, wesoło wyśpiewując polskie piosneczki... I coraz bardziej zachmurzało się jego oblicze surowe. Stanął tu przecież jak na pośmiertnej straży nad swem dziełem zniszczenia, chciał słyszeć ostatnie tchnienie życia, ulatające ku niebu z ostatniej piersi polskiej — — i doczekać się tej chwili nie mógł. Zasępiony wzrok jego biegł ku kernwerkowi, a wśród bruzd czoła zarysowała się myśl: „Potrafilibyście, panowie Polacy, gdyby z kernwerku wam armaty zagrały.“ — Lecz Polacy dziś zmądrzeli i nie dadzą się wziąść na plewy kruczkom Hakatystów.

I wszystko było cicho na kernwerku. Przechodziła tak godzina za godziną, aż noc nadeszła. Pierwszy to dzień przeżył Bismark w Poznaniu po odsłonięciu pomnika swego. Nie był zadowolony. Otulił się w płaszcz ze zmroku nocy czarnej i stał nieruchomy. Gdy zasypiał, myśl mu przez głowę przeszła: Będę tu czuwał, będę pilnował czy niema spiskowców w tem mieście.

*) Fantazya.

Nagle go ze snu obudził odgłos nieznanego bicia we dzwony. „Rewolucya!“ błysnęła pierwsza myśl przez jego głowę! — Lecz to zegary wydzwaniały godzinę dwunastą, północ, godzinę duchów....

Roześmiał się z własnej trwogi. — Zanim jeszcze wybił zegar ostatnie uderzenie, do uszu spiżowego rycerza doszły jakieś tłumione odgłosy. On, co za życia w nic nie wierzył, prócz w siłę pięści, zadrżał mimowoli, gdy spostrzegł, jak przez plac, prosto ku niemu zmierzając, posuwa się jakaś postać, a raczej cień. A z tyłu dolatywał szmer stłumionych głosów.

Postać nieznana szła prosto na pomnik, krokiem miarowym, ze spuszczoną głową; na czole znać było w zmarszczkach i bruzdach walkę myśli, twarz mająca podobieństwo do twarzy Sokratesa, zdradzała filozofa: był to Cieszkowski. Szedł zadumany, zamyślony, zdawał się nie dostrzegać pomnika.....

Bismark go poznał i wyrzekł półgłosem: „Doprawdy nie wiedziałem, że ten stary agitator żyje. Trzeba będzie powiedzieć naczelnemu prezesowi, aby się miał na baczności“ — ale po chwili uśmiechnął się sam na myśl o swych obawach i rzekł: „Przecież to duch a nie żywy człowiek!“

Tymczasem Cieszkowski, zatopiony w myślach szedł, nie dostrzegając nawet pomnika, aż wreszcie przed nim stanął. W jego oczach zarysowało się zdumienie na widok butnej postawy kirasyera, z dłonią na mieczu opartą.

Chwilę tak stał w milczeniu spoglądając na pomnik, aż wreszcie westchnienie głębokie wydarło się z jego piersi: zrozumiał! I łza zabłysła w oku, a ze ściśniętych bólem warg wyrwały się słowa żalu, i skargi, i bólu, i wyrzutu: Więc już tak daleko zaszliśmy!?

Na odgłos tej cichej skargi wystąpiły z ciemnych pokrytych mrokiem nocy dalszych części placu dwie postacie i zapytały:

— Co się stało Auguście?

„Chodźcie bliżej, tu, do mnie i patrzcie sami“ brzmiała odpowiedź Cieszkowskiego.

Wtedy do niego zbliżyli się obaj mężowie. Twarze ich dziwną wspólność miały, odznaczając się niezmierną słodyczą i łagodnością wyrazu, której nie mąciły ślady przebytej ospy. Marcinkowski i Libelt wziąwszy się pod ręce zbliżyli się do Cieszkowskiego. W miarę gdy zbliżali się do pomnika Bismarka, z twarzy ich schodził wyraz łagodności, a osiadała niezwykła jakaś surowość, tak, że Bismark mimowoli dotknął ręką siedzącego przy nim na piedestale Tyrasa, wiernego dogę. Tyras sierść najeżył i warknął...

„Spojrzyjcie, bracia, mówił Cieszkow

ski do obydwóch przyjaciół, kto nas będzie oto podsłuchiwał odtąd w naszych rozmowach o niedoli kraju... Patrzcie — to Bismark, tu na tej ziemi naszej przez niego znękanej.

Libelt zmarszczył brwi i spoglądał na żelaznego księcia. Chciał coś rzec, lecz smutek zdławił mu słowa w gardle. Tylko łza, — gorąca, paląca łza stoczyła się powoli po zoranem obliczu...

Lecz Marcinkowski położył przyjaźnie jedną dłoń na ramieniu jednego z przyjaciół, drugą na ramieniu drugiego i rzekł: „Nie smućcie się. Niema powodu do żalu, dopóki nie ujrzymy, jak nasz lud się zachowuje wobec tego pomnika. I ja wam ręczę — znajdziecie pociechę“.

— Ukryjemy się więc tu, koło pomnika i zobaczymy, co nam dzień przyniesie, — postanowili przyjaciele i przez cały dzień następny niewidzialni dla oka ludzkiego krążyli około pomnika, aby słyszeć rozmowy przechodzących.

Zaledwie dzień się zrobił, gdy po bruku zaturkotały koła wiejskiego wózka, w którym na targ wieźli włościanie warzywo. Gdy się zrównał wózek z pomnikiem, siedzący na wózku chłopak zdjął przed Bismarkiem nabożnie czapkę.

— A dyć włóż nazad czapczynę, głupi, rzekł mu starszy wieśniak, — przecie to nijak nie święty.

Chłopak zapytał: „Ano kto jenszy byłby?“

— To jest on Bismark, co to katolicką wiarę chciał wygubić. Chciał ci on piekło za życia zrobić, teraz po śmierci to.....

Chłopak się przeżegnał, czapkę nacisnął i rzekł: „La Boga opętane odstąp“ i trwożliwie obejrzał się za siebie. Potem zapytał:

— A pocóż on tu stoi?

— Żeby sprawdziło się ono, co jest napisane w przepowiedni: Że jak pies z góry spoglądać będzie na nasz naród, to skończy się już cała męka. Nie widzisz tam tego psa, wskazując na Tyrasa — jak zęby wyszczerza na nas?

Chłopak jęknął, zaciął konia i wózek potoczył się dalej.

Około południa, gdy chmary dzieci wracały ze szkoły do domu, stanęło kilkoro przed pomnikiem i zaczęły mu się przyglądać.

— A wiesz ty kto to jest? — pyta jedno.

— To Bismark! — odpowiada drugie.

— A co to za jeden?

— Jakto? to nie wiecie? Przecież nauczyciel powiedział, że nagrodę dostanie ten, co się wiersza o nim nauczy.

— Tak. Ale w domu nie chcą widzieć tej nagrody!

— A dlaczego?

— Bo widzisz ten Bismark, to on był taki, że dużo naszych ludzi w zimie powypędzał z kraju. Jego nie trzeba chwalić. On też zawsze chodził pod strażą, bo się bał, że jaki upiór przyjdzie.

Dzieci odeszły. Przyszedł ojciec, prowadząc za rękę chłopczyka swego. — Patrz dziecko, — rzekł, — przypatrz się temu człowiekowi i zapamiętaj sobie, co ci teraz mówię: to był najgorszy wróg Polaków, jakiego nasz naród miał kiedykolwiek! Pamiętaj o tem, kiedykolwiek będziesz przechodził koło tego pomnika.

Potem przechodzili mieszczanie. — A, ty... jeden, — rzekł pierwszy, podnosząc rękę w stronę pomnika, – żebyś nie wyjrzał...

— Tego mu niepotrzebnie życzysz, — rzekł drugi, — bo jego sprawy pewnie już Bóg osądził, ale tego bym mu życzył, aby on z tego swego pomnika mógł oglądać to, czego my wszyscy Polacy chcielibyśmy się doczekać... Pewnie by go po śmierci szlak trafił.

Nad wieczorem przechodziło kilku panów z inteligencyi. Spoglądając szyderczo ku pomnikowi powiedział jeden: — Szkoda, że nie postawili obok niego z jednej strony Flottwella, a z drugiej — Bärensprunga, — byłoby nam przynajmniej wszystko na pamięci, czegośmy od najkulturniejszego narodu w tem najkulturniejszem stuleciu doznali, — i poszli dalej.

Przy pomniku stanął szyldwach — władze miejscowe bowiem uważały to za potrzebne...

Jaką wymowną ilustracyą był ten szyldwach przy pomniku! Jakiem nieodzownem uzupełnieniem celów i dążeń bismarkowskiej polityki!

— Po co ten odwach przy pomniku? — pytali jedni drugich, a wzdrygnąwszy ramionami poszli dalej.

Żołnierz stojący na odwachu i przy każdym szmerze podejrzewający — samą swą obecnością dawał dowód, co to za figura stoi tam, na piedestale z bronzu... Pomnika Mickiewicza w Warszawie nikt nie pilnuje, każdy by go własną piersią rad podeprzeć, gdyby się zachwiał.

Niezliczone żarciki i kpiny kursowały więc po mieście, a w nocy pijak jakiś wracając chwiejnym krokiem do domu wołał do Bismarka:

„No cóż — panie tego — panie Bismark, — chciałem powiedzieć — nie boisz się pan sam po nocy między nami — hę? Bo to panie ten — zasłaniasz nam — kawałek naszego nieba — panie Bismark i radzę ci — pókim dobry — złeź lepiej sam i ten tego, cóżem ja chciał powiedzieć — drała do Berlina — nach Berlin.“

I zataczając się, poszedł pijaczysko dalej. A Bismark patrzał nieruchomo w ciemną noc i myślał. Myślał nie o tem, czego się nasłuchał przez dzień cały, bo wszystkie te uwagi nie zrobiły na nim wrażenia; ale myślał o tem, co mimowoli usłyszał z rozmowy niewidzialnych towarzyszów swoich, którzy nie na placach Poznania, ale w sercach rodaków pomnik mają niespożyty. Z ich rozmów słyszał, że w domach polskich głuche oburzenie panowało z powodu pomnika. Słyszał, że żywioł polski żyje!

I mimowoli utkwiły mu w głowie słowa przechodzącego pijaka: *Nach Berlin.* „Po co ja tu jestem właściwie?“ pytał się sam siebie. „Czy na to, aby służyć jako środek podbudzający ducha narodowego w tym nienawistnym narodzie?“ I myślał długo, rozważał, kombinował — i tak noc zeszła.

Gdy szyldwach nad ranem przetarł oczy po krótkiej drzemce, o mało nie upadł z przerażenia: tam, gdzie stał na cokóle wyniosły kirasyer, Bismark ze swym psem Tyrasem, stał tylko sam pusty piedestał, a na nim siedział skulony pies. Kirasyer zniknął. Oglądając się wokoło dostrzegł szyldwach jakiś papier leżący przy pomniku i podniósł go; było tam napisane, co następuje:

„Do Jego Ekscellencyi, przewodniczącego komitetu postawienia pomnika Bismarkowi.“

Sądziłem, że zapraszając mnie do Poznania, chcieliście mi pokazać, jak daleko postąpiły moje plany zgermanizowania tej dzielnicy. Spotkało mnie tymczasem gorzkie rozczarowanie. O uszy moje odbijał się dźwięk polskiego języka i przekonałem się, że na ziemi tej jak dawniej, tak i dziś mówią i czują ludzie po polsku... Dzieło moje więc znikome a zatem nie dla mnie tu miejsce, do widzenia więc, chyba za lat tysiąc. Gdy już dzieło moje ukończycie i będziecie się mieli przynajmniej czem pochwalić przedemną, wtedy mnie zawołajcie, ale tymczasem do widzenia.

P. S. Tyrasa musiałem na pomniku zostawić, ponieważ ktoś przywiązał biedakowi ogon do żelaznego ogrodzenia sznurkiem.

Wasz — Otto.

Stoi więc na rynku pusty piedestał i czeka chwili aż zgermanizowana zupełnie prowincya zawoła żelaznego księcia. Czy się aby doczeka? Prędzej chyba innego pomnika doczeka się ten piedestał, niż pomnika zgermanizowania naszego kraju. *Kazimierz Radwan.*

Dwie straże.

I.

Urągać ma nam z poza grobu jeszcze
I w całej zgrozie straż pełnić od Wschodu,
A jako widmo okrutne, złowieszcze,
Świadczyć o sile swojego narodu.
Jak upior krwi żądny ma do kropelki
Wyssać z nas życie, ducha w nas zadławić,
Z naszych szkieletów niebotyczny, wielki
Swej nienawiści pomnik pozostawić.
Biada, kto jemu choć raz w czem zawadził,
Kto się nie płaszczył, przed nim się nie korzył.
O, tego byłby w pył zmiażdżył, w puch zgładził
I kres istnieniu na wieki położył.
Za jego hasłem wyznawców gromada,
W których zaszczepił jad swej zaciekłości,
Pięścią nam grozi, a kędy ta spada,
Gruzy by chcieli zostawić z przeszłości.
O wy, co jemu tak służycie radzi,
Czyliż wy wiecie, czem on, gdzie duch jego,
W jakiej otchłani, dokąd was prowadzi?
Zbadajcie głębie sumienia swojego,
Może dźwięk jaki dojdzie was uczciwy
I w tym bożyszczu, którego wielbicie,
Nie zbawcę, raczej groźną postać Siwy
Z czaszkami trupów i węże ujrzycie.

II.

Święte — snują się pobożnego tłumu
Gromadki całe, wszyscy w jednę stronę
W skupieniu ducha do bram dążą Tumu
Przez most, gdzie Warty mkną nurty spienione.
I tam straż także, czoło zakrwawione,
W koronie z ciernia, w oczach Boskość świeci,
Dłonie jakoby na to podniesione,
By błogosławić spieszące doń dzieci,
Serce miłości płonącej świątynią.
Słuchaj, przechodniu, czy słyszysz te głosy:
„Ojcze, przebacz im, nie wiedzą, co czynią.“
Powtórz to za Nim, oczy wznieś w niebiosy,
Słuchaj i czoło uchyl z uwielbieniem,
„Ja złączę wszystkich związką mej miłości.“
Czyż więcej trzeba, aby z uniesieniem
Silniejszej jeszcze nie nabrać ufności,
Że ten zwycięża, kto miłość posiewa,
Że prawo Boskie nie zna kajdan mocy,
Zbrojna dłoń czasem bezsilnie omdlewa,
Jasny dzień świeci po burzliwej nocy?
Tam znoś i składaj swe skargi, swe troski.
Niech olbrzymieje, zenitu dosięga,
Niechaj się wzniesie przed Majestat Boski
Kolumną wielką — modlitwy potęga.

7. 3. 1909. *A. T.*

W rocznicę.

(Generał Józef hr. Hauke — Bosak * 19. 3. 34. † 15. 7. 1871.)

Jak miło szukać chwały w zgliszczach przeszłości!

Kiedy wspominamy nasze dzieje, walki, męczeństwa doznajemy przyjemności, napawającej nas otuchą lepszego jutra.

Kiedy przeglądamy karty 63-go roku mimo własną wolę stają nam przed oczyma duchy dzielnych wodzów, trupy pomordowanych, zarysowują się nam kontury postaci, które skrzętnie do skarbnicy minionych chowamy lat.

I teraz właśnie dorzucam sylwetkę Bosaka jako cegiełkę do duchowej skarbnicy...

.....Bosak? — Któż to? -- niejeden może się zaduma nad odpowiedzią.

O, bo imiona bohaterów nie są wszystkim znane, ale większość wie komu się wspomnienia oddaje.

...Bosak — to dzielny wódz, hart siły duchowej, przykład prawego syna nieszczęśliwej Ojczyzny.

W bogatem i sławnem łożu urodził się dnia 19 marca 1834 r. Józef hrabia Hauke. Familia była jedną z najpierwszych, skoligacona z carami, i pochodziła z Saxonii. Niemowlęciem jeszcze stracił ojca (1835). Matka, z domu Steinkellerówna przeniosła się po śmierci męża do Warszawy z całym domem. Ale Józef niedługo tam bawił, gdy bowiem matka zachorowała, car Mikołaj wysłał księżnę Meszczerską, która zabrała całą rodzinę do Petersburga — albowiem car chciał, aby pod jego okiem młodego Haukego wychować. Józef, porwany od łona matki, przepędził ośm prawie lat bez jej widoku. W r. 1844, a więc, gdy miał niespełna dziesiąty rok życa, przeniesiono go do korpusu paziów. Dopiero wtedy uzyskała matka łaskę uściskania syna i to za wstawieniem się króla pruskiego.

Jako kadet wzrastał Hauke w naukach i latach. Uczono go rozmaitych języków, a zapomniano tylko ojczystego — a zapomniano dlatego, żeby młodemu hrabiemu nie przyszło na myśl, że jest Polakiem, że jego Ojczyznę rozdrapują ci, w których ręku leży wychowanie młodzieńca.

Ale Bóg inaczej pokierował koleją losów przyszłego bohatera. Już w 17 roku życia awansowano go na oficera, a w siedm lat później, w r. 1858 nadszedł patent na pułkownika. Jako ordynansowego oficera wysłał car Aleksander Józefa w sprawie militarnej do Paryża. W drodze wstąpił do Warszawy, którą pożegnał przed laty dwudziestu — niewiedząc nic, że ona jest jego kolebką, a sercem Polski.

Z nieświadomością rzeczy stanął na ziemi Francuzów, ale tylko po to, aby się dowiedzieć nagiej prawdy. Przypadkowo poznał hr. Ledóchowskiego na raucie, który urządził hrabia Walewski. Ten to hr. Ledóchowski wyprowadził Haukego z błędu, wyświetlając pochodzenie oficera i sztuczki Moskali. Z gorycza w sercu powrócił do Petersburga z mocnem postanowieniem nauczenia się języka rodzinnego i ojczystych dziejów. Zaprzyjaźnił się z Mikołajem Kaczanowskim — a przyjaźń była podnietą do dalszej pracy. Poznał, że powinien się wyrwać z tej katorzni i przenieść się na inną widownię. Chciał się czemś przysłużyć Ojczyźnie: na razie nie miał czem, ale, wiedząc, że niebawem przyjdzie do zbrojnej rozprawy przygotowywał się w wojnie partyzanckiej. Zerwał z dworem, otrzymał przeniesienie na Kaukaz, gdzie też się udał. Jadąc na nowe miejsce przeznaczenia, zboczył na Podole, do wsi Kordylówki. Mieszkał tu jego kolega, Mikołaj Kaczanowski. Tu poznał jego siostrę Maryę, przyszłą swą małżonkę. Oświadczył się o jej rękę i został przyjęty.

Na Kaukazie przebywał lat kilka. Mianowany zastępcą naczelnika pułku, dzielnie się spisał na tem stanowisku. Kilkakrotnie pobił nieprzyjaciół — a było to powstanie Czerkiesów — czem sobie nie małą zyskał sławę. Na dalekim Kaukazie doleciał również odgłos strzałów warszawskich (1861). Dowiedziawszy się o tem podał się do dymisyi, którą otrzymał, i wyjechał za granicę.

Teraz jednak miłość zniewoliła go do powrotu. Nadobna panna Mania tak głęboko wkradła się w serce pułkownika, że nie tylko nie mógł o niej zapomnieć, lecz wrócił na Podole, aby się z nią węzłem radości i nieszczęść połączyć. Po ślubie bawił w Kordylówce do roku 1863, który go do innnych powołał rzeczy.

Początek lutego 1863 — a więc kilkanaście dni po wybuchu powstania — zastał Haukego we Lwowie. Przedstawiwszy swe papiery Adamowi księciu Sapieże, prosił o odesłanie ich do Rządu Narodowego i umieszczenia go w kadrach oficerów. Sapieha polecił Haukemu, — który odtąd nie używał tytułu „hrabia“, przybrał natomiast nazwisko „Bosaka“ — aby skomunikował się z generałem Wysockim, który kierował ruchem powstańczym w krakowskiem, sandomierskiem, gdzie po upadku Langiewicza objął dowództwo Jordan.

Wysocki przyjął Haukego z otwartemi rękoma, lecz z powodu przeszłości i nazwiska oświadczył, że dopiero po nadejściu odpowiedzi z Rządu Narodowego będzie mógł przyjąć go do szeregów. W Rządzie Narodowym długo się wahano, dopiero gdy we wrześniu 1863 nowe osoby weszły w skład jego, jeden z członków Traugut, powierzył Józefowi Haukemu dowództwo sił zbrojnych w województwach: krakowskiem i sandomierskiem.

Po przekroczeniu granicy poznał Bosak powierzone mu siły: w krakowskiem stał oddział Zygmunta Chmielowskiego, połączony z Iskrą (Sokołowskim) i Zarembą (Władyszczańskim), liczył on 700 ludzi i 120 jazdy; — w Sandomierskiem działał w lasach iłżyckich Eminowicz, w Opoczyńskiem Rudakowski.

* * *

Planem Bosaka, w chwili przejścia przez granicę, było, maszerując w 120 koni połączyć się z oddziałem Rębajły i Chmielińskiego, przejść w Sandomierskie, złączyć się z Czachowskim, który zastępował naczelnika wojsk w tych województwach, wzmocniwszy się siłami Gminowicza i Rudakowskiego, rozpocząć walkę w lasach cisowskich.

Plan ten — niestety! — nie udał się.

Chmieliński atakowany przez Moskali w czterech bitwach, musiał się cofnąć pod Jędrzejów. Bosak zatem ruszył ku górom Świętokrzyskim, gdzie połączył się dnia 28 października 1863 z Rębajłą. Po niejakim czasie dano mu znać, że u stóp góry znajduje się silny oddział pod dowództwem generała Czengery'ego. Bronić się nie było można, gdyż klasztor, który przedtem zajęli powstańcy, nie byłby obrony wytrzymał. W pobliżu wsi Jeziszka stoczono bitwę, ale ta skończyła się klęską naszych. Dzielny Bosak nie zwątpił o powodzeniu sprawy: zebrawszy 40 niedobitków, ruszył do Kunowa, gdzie połączył się z Zygmuntem Chmielińskim, którego powołał na szefa sztabu.

Z Kunowa Bosak wyruszył ku Ociesękom. Celem tego ruchu było odcięcie nieprzyjaciela od organizującej się w lasach cisowskich piechoty Chmielińskiego.

Tymczasem nadeszła straszna wiadomość: jeden z bardzo dzielnych wodzów powstańczych Czachowski zginął w bitwie. Z Ociesęk przerzucił się Bosak ku wsi Strojnowa, a ztąd do Drugni, gdzie stał korpus moskiewski. Z uszykowanem wojskiem wpadł Bosak na Moskwę i odniósł świetne zwycięstwo (4 listopada 1863). Zwycięzcy, przenocowawszy w Lipie, pomaszerowali nazajutrz ku Górom, ale napastowani przez Moskwę, zboczyli do Niegosławic. W drodze wzmocnił swe siły oddziałkiem piechoty i ruszył znów ku Górom, skąd Moskale na wieść o zbliżaniu się Bosaka uciekli.

Teraz dopiero mógł się Bosak zająć organizacyą wojsk. Wszystko szło najlepiej, a Bosak miał nadzieję, że w styczniu 1864 stanie do 5000 ludu pod jego rozkazami.

Moskale zdrzemnęli. Gdy się generał dowiedział, iż w miasteczku Opatowie stoi garstka Moskwy, postanowił z tego skrzystać: podzielił swe siły i napadłszy znienacka Moskwę, wziął pikietę do niewoli i odebrał 35000 złp. Działo się to 25 listopada 1863. W kilka dni później odniesiono świetne zwycięztwo pod Ociesękami. Wojna przybierała postawę coraz przyjemniejszą — organizacya szła coraz raźniej. Jeden z podkomendnych Bosaka — Rębajło — w dwu bitwach: 4 grudnia 1763 pod Mierzwinem i 9 grudnia pod Hutą szczecińską pobił Moskali na łeb, na szyję. Moskale, rozwściekleni zwycięztwami Polaków, rozkazali swemu generałowi Czengeryemu uderzyć na Cisów, gdzie Bosak skoncentrował swoje główne siły. Bosak, wiedząc, że bitwy uniknąć nie może, wyruszył do Budzechowa, gdzie się dnia 16 grudnia spotkano i stoczono kampanię, która jak najfatalniej wypadła dla powstańców. Wielu dzielnych oficerów poległo, między innymi Zygmunt Chmieliński ciężko ranny dostał się do niewoli a w przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia rozstrzelano go w Radomiu.

Po tak dotkliwej klęsce z trudnością przyszło Bosakowi przywrócić wszystko do dawnego stanu. Ale mimo ciężkie położenie i liczne przeszkody już z początkiem stycznia 1864 roku około 5000 żołnierza słuchało jego rozkazów. Tymczasem w Petersburgu kotłowało. Do uszu ministrów doszło, iż ten wychowaniec i ulubieniec cara, Józef hr. Hauke, przybrał nazwisko Bosaka i bardzo skutecznie działa. Dlatego też wydano Czengeryemu polecenia Bosaka dostawić bądź to żywcem — bądź to trupem.

Powolny rozkazowi Czengery urządził obławę na wodza — chciał go żywcem chwycić — ale nadaremnie; trafił na bieglejszego lisa. Nietylko bowiem Bosak wymknął się z pułapki, ale nawet chwycił list, w którym oznaczono siły Rosyan na 4000 ludzi. Postanowił nie zwlekać i rozpocząć natychmiast kampanię.

W pierwszych dniach drugiej połowy stycznia (17.) napadł Rębajło na pułkownika Suchina dowodzącego Moskalami we wsi Brody. Rębajło odniósł zupełne zwycięztwo, a nawet Suchin poległ. Na takie dictum wzięto się na dobre do Moskwy. W tym czasie stoczono również kilka bitew, które wypadły na korzyść powstańców, wyjąwszy fatalną potyczkę Zajkowskiego pod Brodami. W takim stanie rzeczy Bosak usnuwał piękne projekty, które to jednak nieprzewidziany pokrzyżował wypadek.

Zbliżał się początek końca.

Na naradzie wojennej uchwalono uderzyć na największe i najgłówniejsze miasto okolicy, Opatów. W miasteczku stała dość silna załoga, strzegąca pieniędzy. Plan doprowadzono do skutku. Pierwsza rocznica powstania zastała zupełną klęskę Polaków. Nadciągający Czengery przerzucił szalę zwycięztwa ku Moskwie. Było to ostatnie ważne zdarzenie.

Od tego czasu klęska po klęsce spadały na karki nieszczęśliwych powstańców — a przed nimi rozwierała się otchłań, w którą rzucono Ojczyznę - Matkę i — hen! daleko! — droga zasłana chwastem i kolącem zielem smutnej emigracyi.

Bosak poszedł za innymi szukać szczęścia u obcych.

* * *

Piękny lipcowy ranek 1871 roku. Wschodzące słońce błędnym i smętnym uśmiechem witało wyłaniające się z lasu wojsko — jego wyraz tak smutny, gdyby co zwiastował. Ptaszęta śpiewały hymny wiosenne, drzewa kłaniały się bojownikom, trawy ścieliły swe czoła, pola chalońskie dźwięczały brzękiem końskich kopyt — a w duszy żołnierza rodziła się wielka otucha zwycięstwa.

Naraz ukazały się pruskie czapki.

Wódz w pierwszych szeregach wspiął się na koniu, wyjął szablę, i dziarskim głosem zakomenderował:

— Naprzód!

Gdyby huragan zerwało się wszystko i w pędzie szło ku nieprzyjaciołom, a na przedzie widniała postać dowódzcy.

Naraz salwa!... Jeszcze chwila, dopadną nieprzyjaciół...

Tylko ten jeden strzał!

Huk, dym... Ich dopadli.

Widno — dowódzca słania się, spada z konia — poległ za wolność Francyi.

...To generał Józef Hauke Bosak.

Jerzy Witliński.

W obozie.

Wspomnienie z roku 1863-go.

Cóż to tak gwarno w gaju — tam w oddali?
Śpiewy! — strzelba czasem na wiwat wypali —
Między drzewa rzadkie ogień iskry rzuca
Mazurek Dąbrowskiego grzmią potężne płuca.
To obóz! — to wojsko polskie. — Kosyniery
Uzbrojeni w dzidy, cepy i siekiery
Leżą na trawie gromadnie wokoło, —
Jak im tu jest dobrze, swobodnie, wesoło.
Na skraju lasu kozie ustawione w rzędzie
Obok ułani — śmiechy i gwar wszędzie. —

Wtem padł strzał. — Zerwała się wiara! —
Bij, morduj, krzyczą, posiepaków cara.
Stanęli gromadnie. — Pułkownik na przedzie
Swych kosynierów na pewną śmierć wiedzie.
Moskale! Hurra! — to nasi wrogowie!
Kul salwa gwizdem na to im odpowie.
Jęk, krzyk, zamięszanie wszędy
Wśród kul świstu słabnie głos komendy.
Kosynierzy słabną — kiedy wtem z gęstwiny
Ozwą się raz po raz dymiąc karabiny,
Zgiełk i zamieszanie po moskiewskiej stronie
A polska piechota skrycie ogniem zionie...
Tentent koni! szeleszczą proporce! — ułani!!
O teraz z Moskali strzępka nie zostanie —
Ułani pędzą — już siedzą na karkach Moskali,
Wre bitwa — każdy w prawo, w lewo wali...
Moskale się cofają! — najpierw cztery roty
Uciekły wyćwiczonej Finlandzkiej piechoty.
Daremnie starszyzna krzycząc szykuje żołnierzy,
Nic nie pomaga — postrach zgubę szerzy,
Sotnia kozaków jeszcze sama, kole,
Ale i oni ustępują w pole.
Naprzód wiara — ot dał Moskal nogę —
Toć my mu jeszcze zabiegnijmy drogę.
Pędzi szwadron ułanów, lecz zdążyć nie mogą
Moskale już daleko! — gnani dziwną trwogą.

Ten sam gaj. Wiara Moskali wyrznęła,
Śpiewa ochoczo „Jeszcze Polska nie zginęła“.
Dwukrotną dziś bitwą strasznie pomęczeni
Nie chcąc jeść ni pić, kładli się na ziemi. —
— Pod strażą jeńców kilku. Ci stoją w milczeniu
Myślą zapewne o swem powieszeniu,
(Dwóch oficerów i czterech żołnierza)
Wtem nagle od dowódcy adjutant przybieży
I rzecze: „Wolni jesteście“. Jeńcy osłupieli —
— Niechcąc uszom wierzyć, — jakby oniemieli.
„Wolni jesteście“ krzyczy adjutant raz drugi.
Sałdatom łez wdzięczności puściły się strugi.
Oni wolni! Och jakie dobre to „plemię wraże“
Czemuż car batiuszka bić się z nimi każe!?

S. K.

Kraków, w marcu 1900.

Ojciec święty.

Dzisiaj, kiedy Leon XIII skończył już dziewięćdziesiąt lat życia, podziwiać można rzeźwość umysłu, jaką jeszcze zachował. Wprawdzie ręce się trzęsą i postać jest nieco pochyloną, tak że bardzo często Papież prostować się musi nerwowym z pozoru ruchem szyi, ale pamięć służy mu jeszcze wybornie i myśl z łatwością przenosi się w rozmowie, stosownie do okoliczności, z jednego przedmiotu na drugi.

Kiedy lat temu dwadzieścia dwa zwołanem zostało conclave po śmierci Piusa IX, nikt zapewne nie przewidywał, że panowanie Leona XIII będzie tak długiem. Kardynał Donnet, arcybiskup Bordeaux, powróciwszy z tego conclave, opowiadał, iż kardynał Joachim Pecci, słysząc nazwisko swoje, powtarzające się często przy otwieraniu kartek wyborczych, złożonych według zwyczaju w kielichu, drżał cały ze wzruszenia, jak gdyby nie czuł w sobie dość siły, aby podołać zadaniu, jakie spadało na jego barki.

Z tego conclave żyje już tylko czterech kardynałów: Oreglia di S. Stefano (72 lat), kardynał L. Parocchi (67 lat), kardynał M. Ledóchowski (78 lat) i kardynał di Canossa (91 lat). Leon XIII stworzył dotąd 56 kardynałów. Wskutek niedawnej śmierci kardynałów Trombetty i Jacobiniego, Święte kolegium składa się tylko z 62 purpuratów, t. j. że ośm kapeluszy wakuje, gdy komplet kardynalski wynosi 70 osób.

Będąc głową kościoła od 22 lat, Leon XIII prześcignął długością pontyfikatu panowanie Klemensa XI i Urbana VIII; jest on, zdaje się, jedynym pomiędzy 262 papieżami, który nietylko święcił jubileusz kapłański i biskupi, ale zarazem ogłosił Jubileusz Powszechny. W każdym razie zbliżył się do długich pontyfikatów Piusa VI i Piusa VII, *qui unus annos Petri superavit.* Święty Piotr był biskupem rzymskim przez lat dwadzieścia pięć.

Pius IX panował, jak wiadomo, lat trzydzieści dwa, gwoli czemu, nad słynnym bronzowym posągiem św. Piotra, w Bazylice watykańskiej, umieszczonym został mozajkowy portret Piusa IX w medalionie, z napisem, przypominającym wyjątkowo długie panowanie przedostatniego następcy księcia Apostołów. *W.*

Jan Kasprowicz.

Szkic literacki.

Skreśliła
Róża Erzepkowa.

(Ciąg dalszy.)

I jesień więc nie mrozi serca poety, nie chłodzi jego zapału i wiary. — On nienawidzi tych ludzi, co w sobie nie mają ciepła — ludzi, których napróżno w rannej godzinie do czynu budzić. Ci tylko coś warci, którzy w czasie gromów nie tracą równowagi ducha, o nich to mówi w cyklu „Z padołu walki“:

„Błogosławieni, którzy w czasie gromów
Nie utracili równowagi ducha,
Którym na widok spustoszeń i złomów
Nie płynie z serca pieśń rozpaczy głucha;
Którzy wśród nocy nieprzebytej cieni
Nie tracą wiary w blask rannych płomieni:
Błogosławieni!“

Poeta nie pochwala rozpamiętywania przeszłości, które myśl podcina; każe święcić pamiątki — ale nie wrastać za życia w mogiły, bo z nich tylko wiatr studzący zawiewa, a dla nas w zapale i czynie zbawienie, a smutek to bezczynność, która nas zagłodzi...

„Hej! odłogiem leży nasza rola
Choć są ziarna, nie ma rąk do siania
Twardą będzie dzieci naszych dola,
Twardą będzie, pełną krwi i łkania,
Gdyż odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, nie ma rąk do siania.

Na sąsiednich zagonach dokoła,
Tak się tłumnie roji lud roboczy,
Kraje bruzdy, choć pot ciecze z czoła,
Piele zielsko, choć zachodzą oczy,
Na sąsiednich zagonach dokoła,
Tak się tłumnie roji lud roboczy.

My na miedzy, co dzieli dwa łany,
Nasz i obcy, w wierzb płaczących cieni,
Zapadliśmy snać w sen nieprzespany,
Usnęliśmy, snać rychło znużeni,
Na tej miedzy, co dzieli dwa łany,
Nasz i obcy, w wierzb płaczących cieni.

Wicher ku nam od mogił zawiewa,
I jak złodziej do wnętrza się wciska,
Myśl podcina, że już nie dojrzewa,
Studzi zapał, tak że już nie błyska,
Ach! ten wicher, że ku nam zawiewa,
Od tych mogił i w wnętrze się wciska!

Prawda, ludzi chodzących w żałobach,
Trudno winić, że cmentarz ich życiem,
Że szelesty poczęte na grobach,
Są ich marzeń serdecznych spowiciem,
Prawda, ludzi chodzących w żałobach,
Trudno winić, że cmentarz ich życiem.

Lecz grób smutkiem, smutek to bezczynność,
A czas płynie i żniwo się zbliża,
Hej ubiegnie sąsiadów nas zwinność
I plon zniesie do swego śpichlerza.
Nas zagłodzi ta smutku bezczynność,
Gdy czas płynie i żniwo się zbliża.

Ach! odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna nie ma rąk do siania,
Twardą będzie dzieci naszych dola,
Twardą będzie, pełną krwi i łkania,
Gdyż odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, nie ma rąk do siania.“

Zle wokoło — ale im więcej nędzy dostrzega poeta, tem głośniej woła „Excelsior“:

A jednak w górę! głowy w górę!
Czas się wygrzebać z trosk koryta,
Duch oskrzydlony wznieść nad chmurę,
Gdzie złotem blasków słońce wita.
Jest w ludzie siła niespożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą,
Jak ta w popiele skra ukryta:
Choćby ostatnią płuc potęgą
Dmuchajmy w tę skrę bożą, aż łun spłonie [wstęgą.“

Nam dziś trzeba według poety przedewszystkiem wiary —

„. . . . wiary, że na rozsądku
I na miłości oparty
Wśród wiekowego gmach nasz porządku
Złotem lśnić będzie;
Trzeba nam wiary, że ten gmach słońca
I chleba wszystkim otwarty,
Że każdy walczyć winien do końca,
Aż go posiędzie.

Trzeba nam wiary — wierzmy rówieśni!
O wierzmy, zwycięztw już blizcy!
I bądźmy zawsze jako ci w pieśni
Męże ze stali:
Bo oto idzie czas zmartwychwstania
I zmartwychwstaną ci wszyscy,
Co tej złocistej chwili zarania
Z wiarą czekali!“

W tym cyklu „Z padołu walki“ wiersz „Chłopska dola“ to obrazek szary, zapowiadający już niejako późniejsze opowiadania „Z chłopskiego zagonu“.

Najrzewniej przemawia poeta w sonetach „Z chałupy“. Na tle wioski polskiej maluje obrazki krótkie, niby karty z powszedniego życia ludu wyrwane — jego wierzenia — zwyczaje — marzenia i bóle — opromienione głębokiem współczuciem — wierne w najdrobniejszych szczegółach. Poeta opowiada krótko, po prostu, jakby sam nie chciał się roztkliwiać nad tą dolą codzienną:

„Chaty rzędem na piasczystych wzgórkach;
Za chatami krępy sad wiśniowy,
Wierzby siwe poschylały głowy
Przy stodołach, przy niskich obórkach.

Płot się wali, piołun na podwórkach;
Tu rżą konie, ryczą chude krowy,
Tam się zwija dziewek wieniec zdrowy
W kraśnych chustkach, koralowych sznurkach.

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej! czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?...“

W sonetach „Z więzienia“ porusza poeta różne hasła — prawo — rewolucya — emancypacya — wolność — oto temat tych utworów. Kończy ten tomik cykl motywów biblijnych.

„Z chłopskiego zagonu“ (Lwów 1891) przynosi nam poeta cztery opowiadania wierszem: Jewka Orliczka, Na służbie, Dwaj bracia rodzeni i Salusia Orczykówna.

Opowiadanie „Jewka Orliczka“ to dzieje biednej dziewczyny, która, wyszedłszy za wdowca, całe dni spędza przy pracy, krząta się około domu i roli, choć nie potrzebuje, bo mąż radby jej nieba przychylić. Ale mąż umiera i zaczyna się tragedya — tak częsta w chłopskiej chacie. Matka zostaje na łasce pasierba — z początku wszystko idzie składnie — lecz gdy Antek ożenił się z gospodarską córką — matka stała się synowej zawadą i wygnano ją wraz z jej Wasiem — dla świętego spokoju, bo „nie było miejsca na dwie gospodynie.“

Poszła Jewka na komorne, ale łez utulić nie może, bo

„Człek przyrósł już do kąta, przyrósł do tej skiby
Przez kilka lat tych, mówię, że dziś jakby w dyby
Kto serce moje zakuł, gdy trza wszystko rzucić!
Oj! płakać nie przestanę! Oj! będę się smucić,
Aż pewnie z smutkiem zejdę do ciemnego dołu.
Cóż chciałam?.. Nic nie chciałam! pracować pospołu,
Poruchać się w podwórzu, pokręcić się w polu,
Pszenicę, wej! oczyścić z babru i kąkolu,
Zaglądać do obory, jak to dawniej było!
Pasierba-ć, mówię, wszystko, ale mnie się śniło —
Oj! śniło mi się ino, że już tak do końca
Harała będę w skwarze lipcowego słońca,
Jak gdyby na swem własnem... Oj! ty dolo [moja!
Nie sarna ja spokojna u cichego zdroja:
Wygnali mnie, spłoszyli — nie szumnym jaworem,
Nie chrzęstem tej leszczynki, lecz prawie baciorem!
Radzicie niby prawo, a toć gdzie procesy [rem!
Tam bale, mówią starzy, wyprawiają biesy,
Ostatnia to pociecha... Niech mu Bóg przebaczy
Za gorzkość mojej doli, za ciężar rozpaczy!
Oj! ziemio, święta ziemio! Oj! ty czarny znoju!
Ty pewnie już do grobu nie dasz mi spokoju...“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dział społeczno-ekonomiczny.

Rozwój techniki w dziewiętnastem stuleciu.

III.

Rozwój handlu i przemysłu wywołał w początku 19-go stulecia potrzebę transportu przedmiotów i ludzi z większą, jak dotychczas, szybkością i we większych rozmiarach.

Transport odbywa się, jak wiadomo, na lądzie lub na wodzie; oba rodzaje posiadają trzy wspólne konieczne pierwiastki, a mianowicie: drogę, na której przewożenie następuje, wehikuł lub naczynie, w którem mieszczą się towary, przedmioty lub osoby, oraz w końcu siłę poruszającą.

Transport na lądzie, którym głównie się zajmiemy, ograniczał się w pierwotnem stadyum swego rozwoju na ścieżki i drogi, przez przyrodę stworzone, lub też sztucznie założone. Wehikuły, jako środki do przewożenia, zwolna doznawały ulepszeń — ręka w rękę z postępem budowy dróg i szós.

Siłą poruszającą była wyłącznie siła muskularna ludzi i zwierząt. Z natury rzeczy wypływa, że transport, takiemi posługujący się środkami motorycznemi ograniczonym był w szybkości i rozmiarze.

Wynalazek maszyny parowej zmienił stan ten zupełnie. Motor parowy, wydający w razie potrzeby, ogromne ilości pracy mechanicznej w małych już rozmiarach, nastręczył umysłowi ludzkiemu myśl użycia go do przewożenia towarów i ludzi w nieograniczonych ilościach na ogromne odległości ze znaczną szybkością.

Użycie motoru parowego poprzedziło zastosowanie torów żelaznych do większych transportów. Drogi z torami znano już w starożytności; w średnich wiekach zaniechano ich używania zupełnie; w 17 i 18 wieku znalazły zastosowanie w kilku kopalniach angielskich. Rozwój produkcyi i kształtowania żelaza umożliwił użycie torów żelaznych — t. zw. szyn — i przez to pośrednio stworzył możność zastosowania parowych motorów do poruszania wehikułów.

Wynalazcą wozu, pędzonego motorem parowym na szynach żelaznych — t. zw. parowozu lub lokomotywy — jest Stephenson. Zbudowany przez niego r. 1829 parowóz, noszący nazwę „The Rocket“ posiadał w głównych częściach kształt i rozkład dzisiejszych lokomotyw. Ważył on 20 ton, czyli 400 centnarów, posiadał szybkość 16 kilometrów na godzinę, i był w stanie kilka wozów z ładunkiem (wagonów) uciągnąć. Mała stosunkowo chyżość lokomotywy Stephensona była skutkiem małego naprężenia pary, jakie w niedoskonałych wtenczas kotłach osięgnąć było można.

Parowóz składa się z kotła, leżącego na głównej żelaznej ramie, dostarczającego naprężonej pary dwom maszynom parowym, w przodku obustronnie przytwierdzonym. Pręty tłoków parowej maszyny działają za pomocą korby bezpośrednio na koła popędowe, w głównej ramie w łożyskach umieszczone. Ognisko znajduje się w tylnej parowozu części, przed miejscem dla palacza przeznaczonem. Gazy gorące przepływają z ogniska cienkiemi rurami przez całą długość kotła, rozgrzewając prędko i intenzywnie wodę; zużyte wychodzą kominem, na przodzie umieszczonym.

Lokomotywy pierwotne posiadały dwie tylko osie z kołami, złączonemi obustronnie prętami w celu równoczesnego działania popędowego. W toku rozwoju kolei parowych zwiększały się ciągle dymensye i masy używanych parowozów. Musiano ilość osi powiększyć, ażeby nie wywierać zbyt wielkiego ciśnienia na szyny w jednem miejscu. Dzisiejsze lokomotywy posiadają trzy do pięciu osi. Zwiększenie rozmiarów lokomotyw było koniecznem, chcąc pędzić pociąg z większą chyżością, oraz nadać jej siły do ciągnienia bardzo znacznych ciężarów.

Zwykła lokomotywa do pociągów towarowych waży obecnie około 800 ton, czyli 16 000 centnarów, i porusza się z chyżością 40 mniej więcej kilometrów na godzinę.

Lokomotywa do pociągów pospiesznych waży circa 180 ton—3 600 centnarów, posiada zaś chyżość do 90 kilometrów na godzinę.

Ulepszenia, jakich parowozy w ciągu 19 stulecia doznały, są identycznemi z udoskonaleniami motoru parowego, o których w przeszłej mówiliśmy pogadance. Najgłówniejszą rolę odgrywa przy tem zastosowanie pary o bardzo wielkiem naprężeniu, urządzenie doskonałych przyrządów sterujących, oraz także użycie systemu stopniowego zużywania silnie naprężonej pary w cylindrach.

Jak niezmierne przekształcenie wywołały koleje parowe w życiu ludzkiem, w przemyśle i handlu, każdy z nas sam najlepiej zapewne osądzi. Starsi wiekiem pamiętają jeszcze czasy, gdzie tylko na najważniejszych arteryach komunikacyjnych kursowały pociągi, gdzie niewygody podróży pocztami i powozami należały do codziennych „przyjemności“ życia w „starych, szczęśliwych“ czasach, gdzie zwiedzanie obcych krajów było przywilejem bardzo zamożnych jedynie ludzi. Dzisiaj cała kula ziemska pokrytą jest siecią torów kolejowych. Handel i przemysł coraz to nowsze uzyskują koryta odpływowe we formie nowych dróg żelaznych, roznoszących także europejską kulturę i światło europejskiej nauki w najodleglejsze krańce ziemi — pomiędzy ludy zacofane i mniej lub więcej barbarzyńskie. W równej mierze, jak na lądzie, wywołało użycie motorów parowych rozwój komunikacyi i transportu na morzu.

Jedyną siłą, pędzącą statki morskie, był aż do końca 18 wieku wiatr. W podziw wprowadzają nas obecnie wielkie podróże i sławne odkrycia mężów, jak Krzysztofa Kolumba lub Vasco de Gama, jeżeli uprzytomnimy sobie, jak niepewną i zawodzącą często siłą żywiołową jest wiatr, na żagle statku rozpięte działający. Krótko po wprowadzeniu w ogólne użycie motoru parowego wystąpił Robert Fulton z pierwszym, bardzo jeszcze niedoskonałym parostatkiem. Maszyna parowa, na okręcie wraz z kotłami ustawiona, wprowadza w ruch obrotowy dwa koła, na obwodach szuflami zaopatrzone, umieszczone po obu okrętu stronach. Pierwsze okręty parowe nie były wielkiemi, i wskutek wadliwych urządzeń z początku nie zupełnie uzyskiwały zadowolenie kupców i sterników, do żaglowców przyzwyczajonych. Ulepszenia motoru parowego pobudziły i tutaj do pracy nad ulepszeniami, które też znakomite wydały owoce.

Głównym sposobem działania motoru parowego w celu poruszania statku było, jak wspomnieliśmy, z początku wprowadzenie w ruch kół szuflowych. Koła te działają nieekonomicznie, głównie dlatego, ponieważ ich szybkość obrotów przy większych statkach jest znacznie mniejszą od

szybkości obrotów odpowiednich, racyonalnie skonstruowanych motorów parowych. Konieczność zastósowania się do postępów budowy maszyn parowych naprowadziła do zastósowania śruby w celu poruszania statków. Motor szybkochodzący obraca śrubę — czyli raczej rodzaj śmig, zrobionych z lanego żelaza lub brązu, — umieszczoną w tyle okrętu poniżej powierzchni wody. Śruba wkręca się we wodę, poruszając statek. Użycie śruby okrętowej jest dzisiaj przy wielkich statkach ogólnem; ogromne okręty posiadają ich dwie lub trzy.

Wielkość parostatków rośnie w miarę powiększania się komunikacyi i handlu. Dzisiejsze parowe okręty pasażerskie — to miasta płynące, — posiadające wszelki komfort, do jakiego ludzie na lądzie przywykli; okręty zaś wojenne, to fortece na wodzie. Maszyny tych olbrzymów reprezentują siłę kilkudziesięciu tysięcy koni, pancerze parostatków wojennych posiadają grubość kilku cali i są arcydziełami sztuki kształtowania żelaza i stali.

To, co powiedzieliśmy o ważności kulturnej parowozów, odnosi się także do parostatków morskich. Komunikacya pomiędzy częściami ziemi ułatwioną jest obecnie niezmiernie; handel wielki obejmuje całą ziemską kulę, kultura staje się międzynarodową, i zbliża do siebie antypodów we wspólnych interesach i dążeniach.

W przyszłej pogadance zajmiemy się siłą elektryczną, i rozwojem jej zastósowania we wieku XIX. *W. S.*

O stolarstwie artystycznem i jego nowoczesnych zadaniach.

Napisał

T. Filipowicz.

II.

Zanim przejdziemy do *historyi stolarstwa*, pomówimy o *prawidłach*, któremi się powinna kierować twórczość przemysłowa, a w szczególności *stolarstwo meblowe*.

Pierwszą zasadą taką jest cel *praktyczny* danego przedmiotu, tak zwana *celowość*.

Przy tworzeniu jakiegoś sprzętu (mebla) trzeba przedewszystkiem zważać na cel, jakiemu ma służyć. Ważniejsze to od wszelkich ozdób-ornamentów.

Style dawniejsze trzymały się tego ściśle, a każdy wybitniejszy okaz danego stylu cechuje zastosowanie tego prawidła.

Krzesło n. p. jest na to, aby się w niem wygodnie siedziało; powinno więc być w *tym* celu zbudowane. Przy jego konstrukcyi nietylko baczyć należy na rozmiary prawidłowe i stosunek odpowiedni pojedyńczych części do siebie, ale i na ich kształt. Ważną zatem rzeczą: jaki kształt, jakie powinno być pochylenie siedzenia (tylne nogi krótsze) jakie powinny być poręcze do wygodnego oparcia ramion, a ważniejszem jeszcze, jakie powinno być zaokrąglenie *tylnego* oparcia, jakie jego pochylenie, aby przylegało do plec, aby podpierało krzyż, a nie barki.

Już w XVIII wieku uznali to Anglicy, że punktem krytycznym jest krzyż, zastosowali tę zasadę w konstrukcyi swych krzeseł i oznaczyli *środek* tylnej poręczy jako punkt oparcia plec. Krzesła angielskie mają i tę zaletę, że je się dogodnie chwyta przy przenoszeniu. Pod względem praktyczności nietylko Anglicy, ale i Amerykanie mogą za wzór posłużyć. Niemcy zanadto opierają się o *stare* wzory.

W meblach *wyściełanych* łatwiej osięgnąć to, aby były wygodne, niż w czysto drewnianych, w których na konstrukcyi polega wszystko.

Starożytni już uwydatniali w meblach swych zasadę celowości.

Krzesło n. p. z czasów Peryklesa, (którego rysunek zachował się w płaskorzeźbie) ma prostotę form i zastosowanie do wygodnego użytku, nogi lekko wgięte ku środkowi, oparcie łukiem do plec przystósowane. Szczególniej podziwienia godna pozostała forma greckiego krzesła, dlatego, że w czasie tym architektura i jej ornamentyka stały na tak wysokim stopniu rozwoju. Grecy umieli rozróżnić dzieło przemysłu od dzieła sztuki.

Krzesło *średniowieczne*, n. p. gotyckie, miało rozmiary wielkie. Nie było ono wyściełanem jak nasze fotele, ale miało poduszki ruchome, któremi je wypełniano. Bez tych poduszek jest niekompletne.

Krzesło *francuzkie renesansowe* było bardzo wysokie, z ławeczką do oparcia nóg; ławeczka ta miała racyą bytu, bo w epoce onej wykładano podłogi flisami, cegłą, kamieniami, marmurem.

Szafy pierwotne mieściły się w ścianie. Z starożytności nie wiele ich się przechowało, tak jak wogóle dom mieszkalny poznaliśmy dopiero z wykopalisk Pompei — tam przechowały się też szafy ścienne.

Szafy dawne były nadzwyczaj skromne.

Szafa *średniowieczna* była początkowo bez podziałów.

Powszechnie używano w wiekach średnich podłużnych, nader ozdobnych skrzyń, zwanych „Truhen“.

Bufety nasze nie odpowiadają także potrzebom. Miejsce do butelek często za nizkie. Ponad płytą umieszczone niewłaściwie szuflady. Do niektórych przedziałów trudno sięgnąć. Masa form dekoracyjnych bezużytecznych.

Rączki i okucia nie odpowiadają celowi, są niewygodne.

W ośmnastem stuleciu były one praktyczniejsze pod tym względem.

Zasadą przy zamawianiu być powinno: „chcę mieć szafę czy bufet do *moich* potrzeb“.

Drugiem prawidłem w robocie stolarskiej jest to, aby *właściwości materyału* uwydatnić, t. j. aby był użyty odpowiednio, a przedewszystkiem materyał powinien być dobrym, prawdziwym, a nie *podrobionym surogatem.*

Ważnem dla stolarzy jest poznawanie dokładne właściwości różnych gatunków drzewa krajowego jak i zagranicznego.

Dozwolonym jest każdy środek *uwydatniający i potęgujący* naturalne właściwości drzewa, n. p. zabarwienie, t. j. nadanie drzewu jakiegoś tonu, jakiegoś odcienia szarego, żółtawego, czerwonego i t. p., ale drzewo przez to nie powinno zatracić swego charakteru, powinno pozostać drzewem, zachować naturalny swój rysunek słoju, żył.

Najniewłaściwszem to już malowanie sztuczne, jeżeli za pomocą farby olejnej naśladuje się żyłowatość lepszego gatunku drzewa, aby pośledniejszemu nadać pozór cenniejszego, zagranicznego. Zawsze baczyć należy na przystosowanie się wierne do właści materyału.

Uwzględniając przyrodę drzewa i kierunek jego wzrostu należy je w *prostych a nie krzywych* zastosowywać liniach, linii łukowych używać umiarkowanie.

Błędem był także w ciągu ostatnich lat powrót do rokoko; *lepszemi* już zdrowe, prostolinijne spojenia gotyki lub renesansu. Trzeciem prawidłem jest: *odpowiednie wydoskonalenie techniczne.* Robota powinna być rzetelną i artystyczną. Nie trzeba olśniewać fałszywymi pozorami bogactwa, sztucznemi rzeźbami maszynowemi itp. Natomiast, prof. Jessen z Berlina w odczycie swym polecał tak zw. „Sandgebläse“, które uwydatnia żyły i słój drzewa, a nawet wzory i płaskorzeźby wychodzą pięknie w tej technice.

Wartości roboty maszynowej nie zapoznajemy, bo wielkie usługi oddaje stolarstwu, ale i ona zachować powinna cechy swoje właściwe, charakterystyczne; niech nie naśladuje roboty ręcznej, ale daje swoją własną robotę. Formy maszynowej roboty mają być *uproszczone.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

CZĘŚĆ PIERWSZA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy.)

Gdy znowu dni parę minęło, wróciła niespokojność zwiększona jeszcze tysiącem domniemywań.

— On pewnie słaby! — wymówiła nagle głośno.

— Kto taki słaby? — zapytała się ciocia Gefia, przechadzając się po pokoju w ogromnym pudermantlu i jeszcze większym czepku, krokiem zamaszystym i zajętym mocno.

— Pan Stanisław! — odrzekła Konstancya półgłosem i z półrumieńcem... — Bo już dawno nie odwiedził cioci i mnie.

— Słaby! — zawołała ciocia głosem przerażenia, i stanęła na środku pokoju. — A wiesz Kostusiu, że to być może! bo mnie się perły śniły... trzeba posłać się dowiedzieć! poszlemy Chapkę; ona ma najdłuższe nogi.

— Wyjechał przed dwoma dniami.

— I gdzieś leży umierający w karczmie! co za nieszczęście!...

— Ciocia sądzi!...

— Perły, moje serce, to łzy.

— Ostatnim razem zdawał się nawet być cierpiący — uważała ciocia?

— To znowu co innego, on był zamyślony.

— Zamyślony? z jakiego powodu? — badała dziewczyna, rada już temu, że może o nim gadać.

— Bo to widzisz — zagadła ciocia wyciągając obie ręce z wyrazem dramatycznym, i jeszcze tragiczniejsze próbowała puścić westchnienie. — On się kocha!

— Kocha? w kim?

Tu razem uśmiech jak niebo pogodny, i rumieniec jak zorza na niebie wybiegły na twarz dziewczyny.

Ciocia przystąpiła do Konstancyi, przyłożyła palec do ust, i spuszczając oczy z wyrazem wstydliwości komicznej nad wyraz, i starając się zarumienić, co wszakże się nie udało, i skończyło tylko na jeszcze komiczniejszem wykrzywieniu ust i twarzy — rzekła głosem sentymentalnym:

— We mnie się kocha biedak!

Kostunia nie mogła dłużej wytrzymać, i choć jej nie było wesoło, porwał ją śmiech pusty, lecz aby cioci Gefi, której pretensyę w tej mierze znała doskonale — nie urazić, twarz schowała w chustkę, i odwróciła główkę.

— I ciocia wie to z pewnością?! — zapytała z daremnie tajoną pustotą.

— Czy ja wiem! — rzekła na to ciocia Gefia, i stanęła przed zwierciadłem, by się lepiej przypatrzeć zapewne przybranej w tej chwili postawie bohaterki dramatycznej. — A któż może mieć więcej doświadczenia jak ja! która trzech mężów wybrałam z pomiędzy mnóstwa starających się i zakochanych! Ach! żebyś wiedziała, ile każdym razem wzbudzałam zajadłej zazdrości! Ja to już dawno poznałam, że Stanisław szalenie we mnie rozkochany. Czyż to ja nie widziałam jego pomięszania, jego spojrzeń, jego westchnień, ile razy tu był między nami.

— I cóż ciocia na to?

— Żal mi chłopca! daję ci słowo, że mi go żal! bo widzisz, ja mam dobre serce, bardzo dobre serce, to moja słaba strona! I chociaż po śmierci trzeciego męża mego, śp. Wieluńskiego, przy jego martwym trupie przysięgłam sobie, że już więcej za mąż nie pójdę — cóż ja temu winna, że mnie miłością prześladują, bo niech będzie między nami, i sprawnik się kocha we mnie.

— I sprawnik, czy być może!

— Jak szalony! Więc tedy, cóż to ja chciałam powiedzieć?

— O panu Stanisławie Wydrze!

— A tak! więc chociaż z drugiej strony przychodziło mi na myśl *que je derogerai*, bo moi wszyscy trzej mężowie byli znakomitych rodów szlacheckich. Staś zaś jest tylko fabrykantem!... ale to już nie znaczy dziś tyle co dawniej. We Francyi fabrykanci bywają dekorowani, a nawet na ministrów wychodzą.

— Więc ciocia przychyla się do życzeń pana Stanisława?

— Mówiłam ci, że mam serce dobre i czułe, i nawet mam coś dystyngowanego!... wahałam się!... wahałam się!... chociaż jestem jeszcze w najlepszym wieku!... Ale inne, szlachetniejsze zdecydowały mnie pobudki, i gotowa jestem dać Stasiowi moją rękę, i tym sposobem uwieńczyć jego miłość.

— A te pobudki kochana cociu?

— Widzisz moje serce Staś jest fabrykantem, garbarnia to już fabryka szlachetniejsza. Dziad jednego lorda, którego znałam bardzo dobrze, bo przyjeżdżał do nieboszczyka Orłowskiego, grafa, na polowanie, był także garbarzem, a jego wnuk był wikontem Dalogdale, hrabią Glendina i tam dalej. Staś rozpoczął fabrykę w rodzaju już europejskim, ale nie ma znacznych kapitałów. Tu ci muszę przyznać moja Kostusiu droga, że miałam inne tentacye, bo uważałam, że od mojej woli tylko zależało, ale niech to będzie między nami...

— Słucham, milczenie zaprzysięgam.

— Mogłam stanąć jeszcze w bliższych do ciebie stosunkach.

— Jakto, może dziadzio?...

— To nie!

— A więc któż taki?

— Powiem ci tedy pod sekretem, że odemnie zależało zostać markizową, byłabym tedy, jak ty pójdziesz za Artura, niejako twoją macochą, a raczej matką, bo wierzaj mi serce moje, że ciebie kocham bardzo.

— Więc i markiz?

— Robił zawsze do mnie słodziutkie oczy i odemnie zależało. Ale co to ja mówić chciałam?

— O garbarni i o szlachetniejszych pobudkach.

— Aha!... więc uważasz, Staś potrzebuje do swojej fabryki, aby prosperowała, kapitałów. Postanowiłan tedy przedać moją wioskę na Polesiu, i idąc za niego, oddać mu wraz z ręką i kapitał tym sposobem zyskany.

— A to śliczny projekt.

— Ja mam bardzo dobre serce, chciałam wprawdzie moją wioskę tobie zapisać, ale ten biedny Staś, jego serce i jego fabryka! Zostanę jego żoną. I mam przytem śliczny jeszcze projekcik.

— Jeszcze jeden projekt?

— Nasze dwa śluby odbędą się jednego dnia. Obie razem staniemy na kobiercu! ty z Arturem, a ja ze Stasiem! to będzie śliczna ceremonia.

— Niech ciocia siebie wydaje tylko. Ja pana Artura nie chcę.

— Będziesz żoną Artura, będziesz kamerjunkrową: ja ci powiadam. Daję ci słowo, w przeszły piątek ciągnęłam na naszą intencyę kabałę, tę moję sławną kabałę, którą szambelan przywiózł z Paryża od panny Lenormand! bo piątek to najlepszy dzień na kabałę; i imaginuj sobie, akurat wypadł ślub, ślub dla mnie i dla ciebie. Ta kabała nigdy się nie myli.

— Tym razem skłamie! — przerwała Konstancya, którą z początku rozweseliła komiczność ciocinej gadaniny, ale w końcu znudziła ją nawet i zgniewała.

— Nie kłamie! nie moja duszko, i powiem ci więcej jeszcze. Ty pewnie nie wiesz, gdzie pojechał rotmistrz.

— Nie wiem! — zawołała Konstancya z rozbudzoną ciekawością.

— A ja się domyślam i widzę wszystko jak na dłoni. Rotmistrz pojechał do biskupa.

— Do biskupa!

Serce Kostuni uderzyło gwałtowniej.

— Do biskupa za dyspensą dla was! bo jakkolwiek twój ojciec był tylko stryjecznie stryjecznym bratem markiza, potrzebna jest duchowna dyspensa, po którą nie trzeba posyłać do Rzymu, sam biskup może jej udzielić.

Wiadomość ta, chociaż pochodziła od cioci Gefi, której talent czynienia takich domysłów był powszechnie znany, uderzyła Konstancyę mocno w dzisiejszem usposobieniu; nieprawdopodobne mogło jej się wydać możliwem. Nie chciała tego wprawdzie pokazać po sobie, wybiegła zatem do ogrodu z myślą, którą powtarzała sama sobie:

— Dziadzio powiedział pewnie o tem Stanisławowi, i dlatego nie przychodzi. Ale dziadzio taki dobry, tak mnie kocha! czyżby chciał mnie przymuszać? Nie, ja nie pójdę za tę lalkę salonową! Nie! nie!

I to mówiąc, poszła znowu do ulubionej kapliczki, i miała łzy w oczach, i ze łzami patrzała na zamknięte okna w pomieszkaniu Stanisława.

Biedny Stanisław! on już wrócił z krótkiej podróży, i ukryty w oknie za firanką patrzy ku ogrodowi, widzi stojącą Konstancyę, i przeczuwa jej myśli czarne, cierpi jej cierpieniem, płacze jej łzami. On stokroć więcej cierpi i przecierpiał przez te dni wszystkie, bo ona ma jeszcze nadzieję, która chwilami jak słońce przez chmury, przebija się przez ciemne myśli... On nie ma już żadnej nadziei; postanowienie jego niezmienne.

— Cokolwiek się stanie, moim obowiązkiem jest wyrzec się Konstancyi!

Przychodziły mu czasem na myśl marzenia i nadzieje. Może domniemywanie jego o zamysłach rotmistrza jest fałszywe; rotmistrz nie lubi, a co więcej, nie szanuje Artura: czyżby mógł wydać za niego swoję ulubioną wnuczkę? Lecz Stanisław miał dzielny charakter, i z sumieniem swojem nie zwykł wchodzić w układy.

— I w takim nawet razie wyrzec się Konstancyi powinienem. Ja syn ludu, ona w wyższem społeczeństwie urodzona, choćby dziś namiętnością wiedziona chciała zapomnieć o przestrzeni nas dzielącej, drudzy nie zapomną, i ani mnie, ani jej nie przebaczą. I może przyjść chwila, w której i ona znękana tą walką z swoimi, pożałuje kroku namiętnego? Cóżby mnie wówczas zostawało, jeżeli nie rozpacz!

A nareszcie przywodził sobie na pamięć położenie polityczne kraju, gotującą się burzę, która lada chwila może wybuchnąć, a w której jemu niewolno zostać nieczynnym. Przyjął na siebie obowiązki, których dopełnić choćby z ofiarą własnego życia, sam przed sobą przysiągł, i danem słowem kierowników gotującego się ruchu, zapewnił.

— I ją mam wciągać w tę burzę razem z sobą, znając jej silne i niezłomne usposobienie, by razem ze mną w niej przepadła? Nie, nigdy! — mówił do siebie pełen wyższego zapału. — Ona przeboli, zostanie żoną Artura, i zostanie uratowaną a z czasem zapomni.

Takie powziął postanowienie — niezmienne I tylko tem się biedził, jakby je wykonać? Różne miał myśli! Rozmówić się z nią otwarcie! Pisać do niej. Odrzucił i jedno i drugie, bo nie czuł się tyle panem siebie samego, by się w słowie pisanem czy mówionem nie zdradził... i nie uległ wreszcie.

A więc nic nie powiedzieć, i wyjechać nagle postanowił Wszakże bliższe porozumienie się z tajną władzą, kierującą w Warszawie przygotowaniami ruchu, było koniecznem prawie. Więc wyjedzie do Warszawy nie pożegnawszy się z Konstancyą! Lecz rotmistrzowi czyż może nic nie powiedzieć? Powie mu zatem, że go powołuje nagły rozkaz z Warszawy; powie w ostatniej chwili — na wsiadanem... Przez czas jego niebytności, sama konieczność ustalenia losu Konstancyi przymusi rotmistrza, by ją wydał za Artura, i poświęcenie zostanie dokonane. Powziąwszy to postanowienie, byłby może wyjechał w czasie niebytności rotmistrza i wytłomaczył się listownie nagłością rozkazu. Wstrzymywały go jedynie rozpoczęte przez Mortka układy ze sprawnikiem. Wziął tę sprawę poleconą mu przez rotmistrza na siebie, więc musiał jej dokonać! i czyliż mógł porzucić rotmistrza w chwili tak niebezpiecznej? Z największą też niecierpliwością oczekiwał lada chwila spodziewanego rezultatu zawiązanej przez Mortka negocyacyi, o której udaniu się nie wątpił wcale. W tym celu nawet wyjeżdżał, odwiedzając i Mortka i miasteczko powiatowe, w którem królował nasz znany Paweł Onufryjewicz. Lecz nic się jeszcze nie dowiedział pewnego bo sprawnik za rozmaitemi sprawami włóczył się po powiecie. Mortko mu tylko powiedział, że Iwan Iwanowicz i jego nadobna kochanica zapewniają go, że wszystko dobrze pójdzie. Stara Mortkowa sama siedzi w miasteczku, i wszelkiemi sposobami wpływa na sowietnikównę. Józef zaś czeka także w miasteczku, aby w tej chwili przywieść wiadomość do Mortkowej karczmy na owym tęgim koniu galicyjskim, którego Iwan Iwanowicz, niechcąc się skompromitować przed marszałkiem, i nie dowierzając wreszcie prawdziwości tak znacznej ceny, podanej mu przez Mortka, jemuż samemu odprzedał za czterdzieści dukatów.

— *Jewrej, sukin syn, niech zna*, że ma do czynienia z carskim czynownikiem! — rzekł do siebie z tyumfalnym wyrazem twarzy pan *czastny prystaw*. — Mnie Iwana Iwanowicza nikt w pole nie wyprowadzi!

XVI.

Starego rotmistrza nie było cały tydzień. Zrana dopiero w ten sam dzień, na który pozapraszał jak wyżej widzieliśmy marszałka z synem, przybiegła do Konstancyi wierna Chapka.

— Już pan *ide!* — zakrzyknęła. — Ot tam widać już na pagórku!

I w rzeczy samej kałamaszka rotmistrza czterema terantami zaprzężona, zjeżdżała właśnie z góry drogą od gościńca prowadzącą, która na dole rozchodziła się na dwie strony — do Gradowiec przez groblę i pod górę do zaskalskiego dworu. Z okien dworu i fabryki patrzyli Konstancya i Stanisław na jadącego. Jakież było obojga zadziwienie, gdy zjechawszy na dół, kałamaszka zwróciła się do miasteczka. Taranty niemniej zdziwione, przyspieszonym biegiem pogoniły wprost przed kościół OO. Kapucynów.

— Co to ma znaczyć? — zapytali sami siebie Stanisław i Konstancya.

Ciocia Giefia zadecydowała bez wahania:

— Widzisz, że prawdę mówiłam. Przywiózł dyspensę od biskupa, i dlatego naprzód pojechał do Kapucynów. On ma tam w nich szczególne zaufanie, którego nie rozumiem.

Tym razem o tyle zgadła ciocia, że rotmistrz w rzeczy samej zajechawszy przed kościół, udał się wprost nie do kościoła, ale przez furtę do klasztoru.

Stanisławowi, gdy zobaczył jadącego przed kościół rotmistrza, po pierwszem zadziwieniu przyszło zaraz na myśl, że mu się nadarza najlepsza sposobność pożegnania rotmistrza nie widząc się z Konstancyą. Pospieszył zatem do kościoła, lecz tam się dopiero dowiedział, że rotmistrz jest w klasztorze, w celi księdza Fulgencyusza, gwardyana klasztoru gradowieckiego. Stanisław zaczekał przed kościołem.

Po długiej półgodzinie wyszedł rotmistrz w towarzystwie odprowadzających go przez furtę gwardyana i księdza Damazego, kaznodziei, którego już widzieliśmy i słyszeliśmy mówiącego na zebraniu u markiza. Byli to dwaj najwyżsi dygnitarze i luminarze razem klasztoru gradowieckiego, pełni czci dla rotmistrza, który był ich klasztoru szczególnym opiekunem i dobrodziejem.

Rotmistrz prócz mgły jakiejś na czole, może z zamyślenia lub zmęczenia pochodzącej, miał twarz jak zwykle pogodną. Stanisławowi zdało się wszakże, jako w ruchach jego i całym układzie było coś więcej poważnego jak zwykle. W oczach mianowicie zdawał się błyszczeć promień wyższej energii, jakby z głębi duszy wypływającej. Był to błysk myśli pewnej siebie, stanowczo ustalonej. Przed tym wyrazem Stanisław mimowolnie uchylił czoła i przywitany uprzejmie jak zwyczajnie przez rotmistrza, sam nie wiedział jak zacząć to, co chciał wypowiedzieć. Wzdrygał się przed kłamstwem choć w myśli szlachetnej czynionem, na widok starca głowy, otoczonej zda się widomie aureolą jakiejś wyższości niepojętej. Nieraz w późniejszym czasie powtarzał Stanisław, jako zdało mu się w onej chwili, że widzi głowę świętego pańskiego.

Ostatniej dobywszy siły, ozwał się wreszcie Stanisław głosem drżącym:

— Chciałem właśnie pomówić z panem rotmistrzem.

Stary Gradowski spojrzał bystro na Stanisława, i z łagodnym uśmiechem odpowiedział:

— I owszem, mój Stasiu, ale nie teraz, jestem zmęczony całonocną podróżą, która niekoniecznie służy starym kościom.

Przy tych słowach zdało się Stanisławowi, że słyszał wychodzące z ust starca lekkie westchnienie. Lecz stary szlachcic mówił dalej z uśmiechem coraz łagodniejszym:

— Pozwól Stasiu niech odpocznę sobie kilka godzin w domu. Przed wieczorem czekam na ciebie. Będę miał gości, i z tobą właśnie mój Stasiu mam do pomówienia w sprawie bardzo dla mnie ważnej. Więc się oba wywnętrzymy nawzajem.

A wsiadając już do kałamaszki, dodał z uśmiechem, w którym było pół wesołości:

— Przyjdziesz Stasiu? nie odmówisz twemu staremu opiekunowi.

Serce Stanisława tak się ścisnęło, że nie był w stanie słowa przemówić. I łza mimowolna zwilżyła mu oko; by ją ukryć, skłonił głowę miasto odpowiedzi, a pocałowawszy starca w rękę, co prędzej się odwrócił i pobiegł ku domowi. Nie widział nawet jaki wzrok za nim rzucał rotmistrz, wzrok czułości i żalu jakiegoś w dziwnem połączeniu.

Przebiegniemy pokrótce godziny ranne i poobiednie, które stary rotmistrz przepędził w swoim pokoju, by prędzej byó świadkami wieczornego zgromadzenia.

Witającą Kostusię ucałował z zwykłą serdecznością, a może nawet dłużej trzymał w czułym uścisku, lecz wszelką rozmowę do której Konstancya, niemałą miała ochotę, przerwał mówiąc:

— Jestem trochę zmęczony moje dziecię, odpocznę sobie.

I już odchodząc zwrócił się jeszcze, jakby sobie nagle przypomniał:

— Będziem mieli gości dzisiaj, dziś jest jedna z rocznic mego długiego żywota; jedna z rocznic wesołych, może na ten dzień zrzucisz żałobę, Kostuniu.

— A co, nie mówiłam! — rzekła ciocia Gefia.

Konstancya zostawiła ciocię Gefię bez odpowiedzi, i pobiegła do siebie.

Zrzucić żałobę, tę żałobę krajową, którą już od dwóch lat nosi, to biednej dziewczynie drżało ciągle w uszach, w sercu i w głowie.

Chciała zapłakać, ale jej było nie do łez. Usposobienie Konstancyi w tej chwili było dziwne. Wszystko zdawało się w niej wzbudzać niepokój rozpaczliwy, a mimo to odzywał się w jej sercu głos jakiś zaspakajający. Był to przedewszystkiem głos energii dzielnej, jakim Konstancya obdarzona była, a który mimowolnie z ust wydobywał się słowy:

— Ja kocham dziadzia, ja wszystko zrobić dla niego gotowam. Ale mamże jego woli poświęcić szczęście całego życia mego? Czyżby dziadzio chciał mego nieszczęścia i rozpaczy? Nie, ja dziadziowi winnam śmiało i otwarcie prawdę powiedzieć całą.

Rotmistrz prawdę mówił, twierdząc, że jest zmęczony, lecz się rozminął z prawdą, gdy odpowiedział, że chce odpocząć. Wróciwszy do siebie, wszedł naprzód do sypialnej alkowy i w niej stanął przed wiszącym nad łóżkiem obrazem Matki Bozkiej Częstochowskiej, i spojrzawszy ku obrazowi, westchnął z pełnej piersi, i bardzo żałośnie. Potem jął się modlić ukląknąwszy pokornie. A gdy po żarliwej modlitwie podniósł się stary, wyższe, święte namaszczenie promieniło się z jego twarzy spokojnej i wypogodzonej.

Rotmistrz jął się krzątać przy staroświeckiem biurku, sławnem z tajemnych kryjówek, któremi było przepełnione. Wkładał jakieś papiery, wiele z nich popalił, a w końcu osobnym wyszedłszy wychodem, przywołał do siebie starego Jana, dawnego totumfackiego i służącego z lat jeszcze młodzieńczych, mieszkającego na gracyi w folwarku, którego to miał zastępować niepoczciwy przed tygodniem odprawiony Piotr. Z siwym jak gołąb Janem długo rozmawiał, i jemu równie jak i staremu podstarościemu Lemieszyńskiemu, który już także przeszło lat trzydzieści służył w Zaskalu — dawał rozmaite dyspozycye. Oba razem ze starym rotmistrzem krzątali się długo jeszcze w alkowie sypialnej a gdy z niej wyszli cicho i poważnie, stary Jan dziwnie jakoś kiwał głową do starego Lemieszyńskiego, który też jeszcze jakoś dziwnie odkiwnął do Jana swą dobrze szpakowatą już głową, a nawet tyle był zakłopotany, że co mu się od pamięci ludzkiej nie zdarzyło jeszcze, więcej nie pogłaskał szwarcowanych wąsów, podobniuteńkich do dwóch olbrzymich wiszorów, prochem armatnim poczernionych.

Wkrótce po nich wyszedł rotmistrz z alkowy; uśmiech na jego twarzy niezwykle był łagodny. Resztę czasu wolnego przepędził przechadzając się po salce.

Już było ku wieczorowi, gdy pierwsi zajechali przed dwór kapucyni. Z nimi czas jakiś rozmawiał w alkowie. Wkrótce za nimi przyjechali: markiz, który na ten czas przywdział nawet czamarkę — z panem Arturem, który się lepiej jeszcze ustroił, bo w kontusz na wyloty. Ojciec i syn mieli podwójną garderobę, zmienianą wedle okoliczności. Nieraz w czamarce lub kontuszu z rana, występowali wieczorem we frakach.

Markiz i jego godny syn przywdziali te stroje celem przypodobania się rotmistrzowi. Ich patryotyzm powierzchowny, był istnym Judaszowym workiem, wiecznie gotowym na grosz zdrady.

Tuż za karetą angielską pana markiza wtoczył się drabiasty wóz, z którego wyskoczył ubrany jak zwykle pan Bartłomiej, z miną drwiącą na twarzy, wywołaną widokiem markizowskiej karety. I nie mógł wytrzymać, by nie mruknąć sobie pod nosem:

— Czy tak, czy siak, trzeba być możnym dziwakiem, żeby się dobrowolnie zamykać do takiej skrzyni.

Ostatni przyszedł pan Stanisław, idąc z miasteczka krokiem niepewnym i wahającym.

Stary siwy Jan w własnej osobie robił honory w przedpokoju. A był w pełnej paradzie, bo do kurty czamarowym krojem i nieco z żołnierska zrobionej, dodał rajtuzy mające także powierzchowność wcale militarną. Oba te stroje chował stary jako świętą relikwię z czasów jeszcze, gdy za ostatniej wojaczki uganiał w nich na koniu za panem rotmistrzem. By prawdę wyznać, jak kurta tak i rajtuzy, choć dobrze jeszcze zachowane, w najzabawniejszej były sprzeczności z całą teraźniejszą postawą starca. Niegdyś obcisłe, gdy Jan był tęgim mężczyzną, dziś wisiały na schudłym staruszku. Mimo to był widocznie zadowolony sam z siebie; nawet razy kilka poglądał ku zwierciadłu, by się lepiej sobie przypatrzyć. A gdy wchodzącym gościom drzwi otwierał, tak surowo, poważnie i bundziucznie spozierał, że nie podobna było drwić z poczciwego staruszka.

Pan Bartłomiej Zahajpolski tylko, wielki ulubieniec starego Jana, miał niejakie przywileje. To też gdy wszedł i ujrzał Jana w kurcie, zaśmiał się na głos, i uścisnąwszy starego wygę po dawnym zwyczaju, mimo że tym razem Jan unikał tego zanadto poufałego uścisku z uszanowaniem przed gościem pańskim — rzekł do niego:

— Czy tak czy siak tęgo mi wyglądasz w tej kurcie wojskowej; chodź, niech ci się stary przypatrzę!

I jął staruszka obracać na wszystkie strony.

— A co, nie prawda? — odpowiedział stary w najlepszej wierze i obracał się jak najchętniej.

— Poczciwy Janie, Janeczku! czy tak, czy siak chodź, niech cię raz jeszcze ucałuję — rzekł pan Bartłomiej z widocznem rozczuleniem.

— Ale bo, ale bo — mówił stary drożąc się i na wszystkie strony odwracając twarz. — Widzi jegomość to jakoś dzisiaj i tu... nie przystoi.

— Głupiś Jasiu, Jasieczku, nie przymawiając. Czy siak, czy tak, ja cię stary mój poczciwcze codzień i wszędzie ucałuję, i wolę przecież twój pysk poczciwy, niżeli twarz takiego markiza i kamerjunkra moskiewskiego, co to nie pies, nie wydra...

Jan stary uśmiechnął się i uściskali się obaj serdecznie.

Rotmistrz witał swych gości uprzejmie, lecz dla Bartłomieja miał także uścisk ręki cieplejszy.

Gdy już wszyscy byli zebrani, rotmistrz otworzył drzwi do przedpokoju i powiedział Janowi:

— Janie, poproś tu Kostusię i ciocię.

Wkrótce też weszły obie. Ciocia jako ogród, ukwiecona i woniejąca, ukwiecona na pstrej sukni, i na jeszcze więcej pstrej głowie.

Konstancya wedle życzenia dziadka zrzuciła czarną suknię. Miała na sobie skromną sukienkę białą, czarną wstążką przepasaną. Była więcej blada jak zwyczajnie; ale na twarzy był spokój i silne postanowienie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Złote myśli.

Nie sądź według naszych czynów,
Bośmy wszyscy pod grzechami;
Jak lituje ojciec synów,
Panie! zlituj się nad nami.

Stefan Witwicki.

*

Dusza i ciało to tylko dwa sidła,
Któremi Czasu i Przestrzeni skrzydła
Duch mój rozcina w postępowym locie!

Z. Krasiński.

*

Potężniejsze dusze męzkie czynią dlatego tyle nieszczęsnych omyłek w miłości, że przybierają kochane kobiety we wszystkie swoje promienie, nie zdając sobie następnie sprawy, że ten blask, od którego olśniewają, jest ich własny.

Henryk Sienkiewicz.

Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

— Chętnie, ale zdaje mi się, że nie potrzebujesz pomocy.

— Nie znam świata, — westchnęła, — a wiem jednak, że istnieją małżeństwa nieszczęśliwe. Jak to okropnie musi być. Chciałabym cię uszczęśliwić, postanowiłam sobie ulegać zawsze twej woli, gdyby zapatrywania nasze i życzenia były czasem odmienne. Twoja wola będzie mi prawem — nie w niewolniczej uległości, tylko w uznaniu twego rozumu. Będziesz moim przewodnikiem w dobrem, Arturze? Ja ci będę posłuszną.

Artur pocałował jej rękę i odrzekł z przekonaniem:

— Tak, kochanie, wszystko tak będzie, jak chcesz.

Po odejściu Helenki długo jeszcze chodził po terasie, przygnębiony i smutny. Nadziei na przyszłość nie miał już żadnej, a teraz czekała go jeszcze ostatnia, najgorsza chwila, pożegnanie się z Janiną! Jej słodka, blada twarzyczka prześladowała go nieustannie i wiedział, że chociaż on cierpi niezmiernie, to ona głębiej odczuwa ich nieszczęście.

— Kiedy będę mógł pomówić z tobą bez świadków? — rzekł do niej później, gdy oboje w salonie pisali adresy na kufry i paczki.

— Nie wiem, ale — wieczorem — może... — szepnęła, nie podnosząc oczu.

— Muszę ci coś pokazać — odezwał się teraz sir John do zięcia — tylko proszę, nie zlęknij się! Pójdź do sieni.

Stały tam kufry w niezliczonej ilości, a sir John śmiał się wesoło, wskazując na nie Arturowi.

— Patrz — mówił — tak to bywa, gdy panie podróżują. Zdaje mi się, że moja żona zaopatrzyła Helenkę na kilkanaście lat w suknie i bieliznę!

Nareszcie nadszedł wieczór. Artur zaś nie miał jeszcze sposobności pożegnania ukochanej. Po kolacyi dopiero, gdy Janina, jak zwykle, wyszła do ogrodu, mógł iść za nią, nie budząc w nikim podejrzenia.

Był to jasny, pogodny wieczór jesienny, a miliony gwiazd błyszczało w cichym blasku na ciemnym firmamencie. Na ile nędzy i rozpaczy patrzały one z swej wysokości, ilu gorzkich walk były już świadkiem. Obraz zaś, jaki teraz widziały, był również smutnym i ponurym.

Lord Chesley i Janina szli długi czas w milczeniu. Mieli sobie tyle do powiedzenia, a brakło im odwagi na wymówienie tego, co przepełniało ich serca.

— Jak okrutnem jest nasze przeznaczenie — rzekł w końcu Artur. — Czy istnieje mężczyzna, który pod takiemi warunkami musi się wyrzec swej miłości! Nie możemy sobie nic zarzucić, więc też tem więcej cierpię, że tracę ciebie, jedyne szczęście mego życia!

Nigdy jeszcze nie wydawała mu się Janina tak piękną, jak teraz, gdy ze łzami w oczach spojrzała na niego.

— Życie niektórych ludzi — szepnęła — podobnem jest do tragedyi. I nam przeznaczył Bóg takie w niem role i musimy się starać przeprowadzić je tak, abyśmy nie stracili szacunku dla nas samych. Inni kochający się musieli się też rozłączyć.

Artur milczał. Rezygnacya dziewczęcia krajała mu serce.

— Cokolwiekbądź przyszłość nam przyniesie — mówiła Janina dalej — śniliśmy uroczy sen szczęścia i powinniśmy być wdzięczni, że poznaliśmy się i ukochali...

Zwolna zwrócili się ku domowi. Umówili się, że odtąd będą się spotykać jak dwoje obcych sobie, bo kochali się za gorąco, aby żyć w przyjaźni. Oboje postanowili niezłomnie pozostać na raz obranej drodze obowiązku.

Pożegnanie! Ile serc złamało już jedno to słowo, jak małej liczbie ludzi bywa ono oszczędzonem! Los rozłącza małżonków, rodzice muszą opuszczać dzieci, kochający się wiedzą, że patrzą na siebie po raz ostatni! Życie wymaga tego, a każdy myśli, że cierpi najwięcej z wszystkich!

— Bądź zdrów, Arturze, — mówiła Janina, zaciskając białe ręce, — patrz na gwiazdy! Tam, kiedyś — wolno nam będzie należeć do siebie. Czekajmy cierpliwie na to szczęście wieczne.

Artur chciał jej odpowiedzieć, ale Janiny już nie było. Znikła, jak ostatni promień nadziei.....

Aż do późnej nocy biegał lord Chesley po ogrodzie i ciężką staczał walkę z swoją rozpaczą. Chwilami zdawało mu się, że musi iść do Janiny i namówić ją, aby uciekła z nim w świat daleki, bo nie będzie mógł żyć bez niej! Złorzeczył przeznaczeniu, myślał o samobójstwie, ale zwolna uspokoiły się wzburzone nerwy, i rozwaga, oraz poczucie obowiązku zwyciężyły. Pomny słów ukochanej, postanowił zapomnieć o swym żalu, poświęcając się wyłącznie tej młodej, niewinnej istocie, która była jego żoną.

Nad ranem dopiero wrócił Artur do swego pokoju. Okrutna walka skończyła się zwycięztwem obowiązku. Janina niemniej straszne przepędziła godziny, a ślady łez na jej twarzy jawnym były dowodem, ile cierpiała. W ostatnim czasie doznała tyle szczęścia i tyle smutku, że umiała teraz ocenić jedno i drugie, wiedziała przecież, że najlepsza część jej istoty, jej młodość i nadzieje zostały na zawsze pogrzebane owej pamiętnej nocy. A oddzielona z nią przez ścianę, leżała Helenka i spała cicho i spokojnie. Żaden przykry sen nie męczył jej, żadne złe przeczucie nie mąciło swobody tej czystej, niewinnej duszy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Następnego dnia świeciło jasne, jesienne słońce, a lord i lady Marstone doznawali takiego uczucia, jak gdyby dzień dzisiejszy dopiero był dniem ślubu Helenki. Nie wątpili ani na chwilę o szczęściu jedynaczki, ubolewali tylko niezmiernie nad blizkiem rozstaniem się z ukochanem ich dzieckiem.

Gdy lord Chesley ukazał się w sali jadalnej, nie było już po nim widać śladów walki, jaka wczoraj w sercu jego wrzała. Janina przyszła znacznie później, ubrana bardzo starannie, dla pokrycia bladości twarzy. Helenka rozmawiała wesoło z ojcem — jedna tylko lady Marstone siedziała smutna, przykładając raz po raz chustkę do oczu, dla otarcia gorących łez.

— Po raz pierwszy rozłączam się z Helenką, — mówiła żałośnie, — nie wiem doprawdy, jak żyć bez niej!

— Może będę ci ją zdołała chociaż w części zastąpić, — rzekła Janina, całując jej rękę.

Lady Marstone pogładziła pieszczotliwie twarzyczkę dziewczęcia, i czuła się nieco pocieszoną, ale gdy powóz zajechał, wybuchła głośnym płaczem.

— Przywieź nam ją zdrową! — prosiła ściskając ręce zięcia.

— Możecie mi ją śmiało powierzyć, — brzmiała poważna jego odpowiedź, — poświęcę jej całe moje życie!

Potem zbliżył się do Janiny i po krótkiem wahaniu się, podał jej rękę.

— Żegnam panią! — rzekł krótko.

— Żegnam pana!

— Jakie formalne słowa! — zawołała Helenka. — Czemu jej nie pocałujesz, Arturze? Jania przecież zawsze mi siostrą była, i musisz ją tak kochać, jak ja! No, dalej, pocałuj ją i pożegnaj, jak na krewnego przystało!

Ale lord Chesley cofnął się, Janina także, a Helenka śmiała się serdecznie.

— Jakaś ty nieprzystępna dla panów, — rzekła. — Spodziewam się jednak, że dla mnie będziesz uprzejmiejszą! Janina przycisnęła z uczuciem Helenkę do serca i ucałowała ją gorąco.

— Niech cię Bóg błogosławi, kochanie, — szepnęła, — i niechaj da ci szczęście! Powiedz mi, że jesteś teraz szczęśliwą — będzie to dla mnie najlepszą pociechą po twoim wyjeździe!

— Ach Janiu, — odrzekła Helenka, — nie ma chyba na całym świecie szczęśliwszej kobiety! Wiesz, że kocham Artura tak, że byłabym umarła bez niego. Jego miłość to moje życie!

— — — — — — — — — — — — — — —

Po wyjeździe młodej pary pusto i smutno było w zamku. Lady Marstone była z początku niepocieszoną, uskarżała się nieustannie na nieobecność Helenki, i Janina ciężkie z nią przechodziła chwile. Ale zwolna uspokoiła się stroskana matka o tyle, że razu pewnego rzekła do siostrzenicy:

— Ty Janiu, jesteś całą moją pociechą! Nie wiedziałabym doprawdy, jak sobie dać radę bez ciebie.

Pierwszy list Helenki sprawił rodzicom niewymowną radość. Lady Marstone podała go natychmiast Janinie.

— Przeczytaj mi go, — rzekła, a Janina czytała o szczęściu kuzynki, o miłości jej męża, i głos jej nie zadrżał, tak umiała panować nad sobą. Nikt nie wiedział ile biedna cierpi.

Dni tymczasem stawały się coraz to krótsze, a życie w zamku coraz to jednostajniejsze. Częste listy córki uspokoiły rodziców, którzy przywykli teraz już do jej nieobecności, ciesząc się szczęściem i zadowoleniem jedynaczki.

Dla Janiny była cisza ta prawdziwem dobrodziejstwem. Po doznanych cierpieniach i wzruszeniach nastąpiła teraz reakcya, równająca się zupełnej apatyi. Nie mając nikogo, komu by się zwierzyć mogła, musiała zamknąć wszystko w swem sercu, co naturalnie zwiększało jej cierpienia. — Ojciec jej życzył sobie wówczas bardzo, aby została żoną Jerzego Brendona, cenił wysoko młodego oficera i byłby mu z radością oddał jedyne dziecko, ale Janina oświadczyła stanowczo, że nie wyjdzie za mąż bez miłości, i ojciec nie śmiał jej za to ganić. Gdy później przybyła do domu wujostwa, i gdy poznała Artura, wiedziała od pierwszej zaraz chwili, że to jest człowiek, któremu odda swe serce. Artur pokochał ją także i zdawało mu się, że to jest jedyna kobieta, jaka go może uszczęśliwić. Szlachetny charakter Janiny dawał też wszelką gwarancyę szczęścia. Inna na jej miejscu byłaby zapewne znienawidziła Helenkę, ona natomiast kochała ją tak, jak dawniej, i nie żałowała ani na chwilę swej ofiary, która wróciła kuzynce życie i zdrowie. A pomimo to wiedziała, że ciężka walka z własnem sercem nigdy się nie skończy. Nie mogła pod żadnym warunkiem opuścić domu swych jedynych krewnych, musiała się przyzwyczaić do myśli, że Helenka jest żoną Artura, i postanowiła, jakkolwiek ciężar życia silnie ją przytłaczał, nie upaść i zejść z drogi, jaką sama sobie wytknęła.

Lord Chesley wynajął uroczo położoną willę w południowej Francyi, a podług zdania Helenki był to najrozkoszniejszy kącik, o jakim kiedykolwiek marzyć mogła. Młodzi małżonkowie mieszkali tu już od dwóch tygodni, i Helenka czuła się nad wyraz szczęśliwą i zadowoloną. Mąż otaczał ją wszelkiemi wygodami, wypełniał każde jej życzenie, strzegł jej, jak oka w głowie, więc uważała to wszystko za miłość z jego strony i nie pragnęła już niczego więcej. Nie przyszło jej nigdy na myśl, że czułość Artura była raczej czułością kochającego brata, i nie zauważyła nigdy lekkiego przymusu, z jakim mąż przyjmował jej pieszczoty.

Czasami zastawała Artura pogrążonego głęboko w myślach, dziś rano tak samo! Zarzuciła mu zatem ręce na szyję i zapytała z figlarnym uśmiechem, czy zamierza napisać jaką powieść.

— Ja? — odrzekł zdumiony. — Dlaczego pytasz o to?

— Bo jesteś często zamyślony! Sądziłam przeto, że zamierzasz wydać dzieło, któreby cały świat w podziw wprawiło. Zdaje mi się, że sam nie wiesz, jak często jesteś milczący i zadumany.

— Doprawdy?

— Naturalnie, — zawołała, śmiejąc się. — Wczoraj naprzykład wpatrywałeś się przez całe dwie godziny w liście powoju na werandzie. Nie mogłam niestety pojąć, co cię tak interesowało, ale nie chciałam ci przeszkadzać!

— Nudzisz się więc Helenko!

— Jakżebym się mogła nudzić, jeżeli patrzę na ciebie!

— Pomimo to, proszę cię, — rzekł łagodnie, — abyś mnie na przyszły raz zbudziła z takiego zamyślenia. Jest to złe przyzwyczajenie, którego chciałbym się pozbyć.

— Wiedziałam, że marzysz tylko! Ale że marzysz pewnie o mnie, więc nie gniewam się o to!

Serce Artura zabiło niespokojnie. Myśli jego zajmowały się wyłącznie Janiną, a Helenka ufała mu tak bezwarunkowo, że sumienie wyrzucało mu tu względem niej popełnioną niewierność. Nawet myśleć o swem utraconem kochaniu nie było mu wolno!

Czasem pytała go Helenka, czemu wzdycha we śnie tak ciężko i mówi o jakiejś stracie?

— Czy spotkało cię kiedy jakie nieszczęście, najdroższy?

Twarz jego skrzywiła się bolesnym uśmiechem.

— Nie pytaj o to Helenko, — odrzekł, — nie chciałbym o tem mówić!

— Przeciwnie, Arturze! Nie powinieneś mieć przedemną tajemnic. Czy utraciłeś kogo drogiego twemu sercu? Może przyjaciela?

— Tak, — szepnął drżącym głosem.

— Niechaj Helenka myśli, — rzekł sobie w duszy, — że to przyjaciel! Prawdy nie mogę jej przecież powiedzieć!

— Czy twój przyjaciel umarł? — pytała dalej.

— Nie, Helenko, śmierć nie zawsze największym jest ciosem. Życie i stosunki utworzyły zaporę pomiędzy nami, a ja cierpię okrutnie z tego powodu.

— O, jakże mi żal! Chciałabym zastąpić twego przyjaciela. Ale może on cię zdradził?

— Nie, on był mi wiernym aż do końca. Nie mówmy już o tem, proszę cię też, abyś nigdy nie rozpoczynała tego tematu. Pragnąłbym zapomnieć o wszystkiem!

Helenka nie przeczuwała, że nadejdzie dzień, w którym każde słowo tej rozmowy stanie jej żywo w pamięci, i w którym, zrozumie, kto był owym utraconym przyjacielem.

Kilka dni później czytał Artur głośno jakąś powieść. Losy kochanków zajmowały żywo Helenkę, to też słuchała uważnie, wpatrując się przytem z miłością w twarz męża.

W końcu zamknął Artur książkę i westchnął

— Jaka to różnica pomiędzy powieścią a życiem, — rzekł cicho. — W powieści kończy się każda miłość szczęśliwie, podczas kiedy w rzeczywistości.....

— W rzeczywistości także, — przerwała Helenka.

— Nie zawsze!

— Ale nasza skończyła się szczęśliwie!

Artur roześmiał się szyderczo i spuścił głowę.

— Nasza miłość jeszcze nie skończona, — rzekł po chwili.

— Nie, masz słuszność, ona się tu wcale kończyć nie ma!

Artur zawstydzony umilkł. Czemu nie mógł pokochać tej ślicznej, miłej, dobrej istoty! Czemu serce jego zwracało się mimowoli zawsze do Janiny, której nie zdołał w żaden sposób zapomnieć?

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Wiosna nadeszła, a życzeniu Helenki wrócenia do domu nic już nie stała na przeszkodzie.

— Widać, że jest zupełnie zdrową, — mówił sir John do żony.

— I szczęśliwą, — dodała ladyMarstone.

Cała przyroda zdawała się cieszyć na przybycie Helenki, i przybrała najbarwniejszą swoją szatę, na powitanie młodej dziedziczki zamku. Rodzice nie posiadali się z radości na widok zdrowej i świeżej córki, a Janina serdecznie uścisnęła kuzynkę, której poświęciła całe swoje szczęście.

— Dotrzymałeś słowa, — rzekła lady Marstone do zięcia. — My sami nie bylibyśmy mogli troskliwiej się nią opiekować.

Powitanie się Artura i Janiny bardzo było chłodne i sztywne. Zamienili kilka słów, i unikali się potem już jaknajstaranniej.

Kilka dni później pojechał Artur do Ashbrook, aby się przekonać, jak daleko postąpiła renowacya jego zamku. Okazało się jednak, że w czasie jego długiej nieobecności nie postąpiły roboty wcale, i że przynajmniej minie jeszcze rok, zanim będzie tu mógł zamieszkać. W Suzwold wywołała wiadomość ta wielką naturalnie radość, ponieważ młoda para była tym sposobem zmuszoną pozostać tamże przez cały ten czas.

Minęła wiosna i lato, a lord Chesley i Janina, mieszkający pod jednym dachem, postępowali ściśle podług poprzednio ułożonego planu, i unikali pilnie każdej sposobności widzenia się bez świadków. Nigdy nie wychodzili i nie wyjeżdżali razem, nie rozmawiali z sobą, i dwoje sobie zupełnie obcych ludzi nie mogłoby okazywać więcej chłodu i obojętności. Helenkę dziwiło to ich postępowanie, wyraziła się nawet o tem głośno, a lady Marstone zarzucała jedynie winę siostrzenicy.

— Mogłabyś doprawdy być nieco uprzejmiejszą dla Artura, — rzekła tonem lekkiej nagany.

Ale Janina milczała, i nie zmieniła się wcale.

Po kilku tygodniach wyjechała na dłuższy czas do pewnej dawnej znajomej, która także teraz z Malty wróciła do Anglii, później udał się lord Chesley z żoną do Londynu, i tak starali się oboje o to, aby się o ile możności jak najmniej widywać.

Zaraz po świętach Bożego Narodzenia obdarzył Bóg Helenkę córką. Sir John zmartwił się nieco, pragnął bowiem mieć wnuka, któryby przejął jego nazwisko i majątek, lady Marstone za to cieszyła się więcej wnuczce.

Śliczna to była dziecina, biała i różowa, o złotych włoskach i błękitnych oczach. Helenka nie mogła się dosyć

napatrzeć na swoje maleństwo, a szczęście było jej teraz jeszcze większem i doskonalszem.

Niedługo też rozpoczęły się narady, jakie dziecku dać imię, i przy tej okazyi zbudziło się w sercu Helenki po raz pierwszy podejrzenie, że Artur nie kocha jej tak, jak ona jego.

— Nie wiem doprawdy, jakie dać imię! — rzekła Helenka pewnego dnia, pieszcząc maleńką — a przecież to najwyższy czas pomyśleć o tem.

— Zapewne, i ja jestem tego zdania — rozśmiał się Artur. — Nie wyszukałaś jeszcze jakiego ładnego?

— O, co do mnie, to chciałabym jej dać imię najlepszej, najszlachetniejszej dziewczyny, jaką znam. Nie domyślasz się, kogo mam na myśli? Otóż Janinę!

Mówiąc to, spojrzała na męża i zauważyła, że twarz jego pobladła.

— Nie — rzekł po chwili ochrypłym głosem — Janina, nie. Lepiej każde inne imię!

— Czy imię to nie podoba ci się? — zapytała zdumiona.

— Owszem — bardzo ładne, ale...

— Więc czemu nie mamy go dać naszej córce? Jakiś ty dziwny Arturze? Nie rozumiem cię wcale!

Lord Chesley pochylił się nad kołyską, aby ukryć swe zmieszanie.

— Powinno ci wystarczać, moje życzenie — rzekł cicho — Wyszukamy inne, równie ładne imię, a krótsze.

Wiedział on, że nie zniósłby męczarni nazywania swego dziecka imieniem jedynie ukochanej kobiety.

— Zastosuję się zupełnie do twego życzenia - odpowiedziała Helenka smutnie, i nigdy już nie wspomniała o tej kwestyi, ale nie mogła zapomnieć dziwnego zachowania się męża i męczyła się daremnie nad rozwiązaniem tej zagadki. Widocznie musiał mieć Artur jakieś ważne powody do tego, a gdy raz podejrzenie zbudziło się w niej, nie mogła go się już pozbyć.

Zaczęła więc pilnie obserwować męża i Janinę. Dawniej żyli oboje w wielkiej z sobą zgodzie, śmiali się, żartowali i lubili rozmawiać z sobą - teraz unikali się i nie patrzeli nawet na siebie. Po długich namysłach przyszła Helenka do przekonania, że musieli się o coś pogniewać i postanowiła ich czemprędzej pogodzić.

O miłości ich nie myślała ani na chwilę, bo zkądżeby miała przypuszczać coś podobnego, ale przykro jej było, że tych dwoje właśnie, których tak kochała, żyło z sobą w niezgodzie. Dlatego też pewnie nie chciał Artur dać córce imienia tej, której widocznie nienawidził.

Kilka dni później, gdy znajdowała się z Janiną i Arturem w pokoju dziecięcym, spojrzała uważnie na męża i kuzynkę i rzekła zupełnie niespodziewanie:

— Powiedz mi Janiu, czy ty się gniewasz na Artura? Twarz dziewczęcia gorącym pokryła się rumieńcem.

— Gniewać — ja... — wyjęknęła bez tchu nieomal.

— Unikacie się i nie rozmawiacie z sobą tak, jak dawniej. Możnaby sądzić, że się ledwie znacie.

— Doprawdy? — rzekła Janina, odzyskując zwolna przytomność. — Dzieje się to chyba nieumyślnie. Wybacz mi pan — dodała, zwracając się do Artura — jeżeli byłam względem pana nie dosyć uprzejmą.

— To mi się podoba! — zawołała Helenka wesoła. — Podaj rękę Jani, Arturze i przyrzeknij także poprawę.

Lord Cheslej wykonał rozkaz żony, ale gdy dotknął rękę Janiny, zdawało mu się, że długo przytłumiony płomień w jego sercu wybuchnie z całą potęgą. Helenka zauważyła wzruszenie męża, i przeczuwała instynktem, że pomiędzy nim i Janiną istnieje jakaś tajemnica, jakaś zagadka, którą napróżno starała się zrozumieć.

— Z początkiem wiosny przybył znowu lord Brendon do zamku. Serce ciągnęło go nieustannie do Janiny, pomimo że wiedział, że chwilowo żadnej nie może mieć nadziei.

Wszyscy ucieszyli się niezmiernie miłemu gościowi, najwięcej jednak Helenka. Obecność jego, myślała, przywróci może dawniejszy stosunek pomiędzy Arturem a Janiną, bo zawarta wówczas pomiędzy nimi zgoda, nie trwała jakoś zbyt długo.

Przywitała więc Jerzego z całą swoją wrodzoną promienną uprzejmością i zaprowadziła go natychmiast do pokoju dziecka, aby mu pokazać ów ósmy cud świata. Duma jej i szczęście zachwycały Jerzego — z wielką też powagą patrzał na maleńką istotkę, gładził złote włoski, i pocałował drobne paluszki.

— Nie jest to śliczna dziecina? — pytała z uśmiechem Helenka.

— Zachwycająca — odrzekł z głębokim przekonaniem.

— Nie mogliśmy się jeszcze zdecydować, jakie imię jej damy — mówiła Helenka dalej. — Ja chciałam imię Janina, ale Artur nie zgodził się na to, pomimo, że mu się to imię podoba. Nie wiesz pan, czemu on tego nie chce?

— Była to zapewne tylko idea chwilowa.

— Może, jednak zmartwiłam się tem bardzo. Jakie imię dałbyś jej pan?

Jerzy uśmiechnął się.

— Jak się pani podoba naprzykład Stella? — zapytał.

— Stella! Ach, jakie ładne imię! Że też prędzej o niem nie pomyślałam! Stella Chesley! Jak to dobrze brzmi!

— A teraz chciałabym pana jeszcze o coś zapytać. Czy sądzisz, że Artur i Janina pogniewali się o co? Znasz pan Janię dawniej, niż ja — nie uważasz, że robi ona teraz wrażenie bardzo smutnej i przygnębionej?

— Zkąd pani przychodzisz na tę myśl! — rzekł Jerzy zdumiony.

— Oboje zmienili się niezmiernie. Dawniej lubili się widocznie, a teraz ledwie na siebie spojrzą. Próbowałam ich pogodzić, ale daremnie. Czy panu postępowanie ich nie podpadło?

— Nie, i zdaje mi się, że się mylisz, milady.

— Ale obserwuj ich pan tylko i powiedz mi twoje zdanie po kilku dniach!

— Chętnie, wątpię jednak, czy będziesz pani ze mnie zadowolona.

Pomimo to zauważył Jerzy także, że Artur i Janina unikali się wzajemnie, i poznał od razu, że pomiędzy nimi istnieje jakaś tajemnica. Podpadło mu, że rozmawiając nigdy nie patrzeli na siebie, i że nigdy nie podali sobie ręki. Sztywny ukłon był jedynem ich pozdrowieniem. Nie wiedział jednak, że to był jedyny sposób, w jaki mogli żyć pod jednym dachem. Miłość ich była zbyt gorącą i głęboką, i doszli do tego przekonania, że łatwiej pokusy uniknąć, niż ją zwalczyć.

Sir John i lady Marstone nie domyślali się niczego, ale Helenka cierpiała niezmiernie pod wpływem tej jak ją nazwała „niezgody“ męża i kuzynki, chociaż tak Artur jak i Janina starali się teraz być więcej dla siebie uprzejmymi, obawiając się nowych pytań Helenki.

I czego młoda kobieta nie poznała, to poznał natychmiast Jerzy. Lord Chesley kochał Janinę, a nie swoję żonę! Helenka widziała tylko chłodną jego grzeczność, Jerzy zaś widział przytłumioną namiętność i żelazną wolę panowania nad sobą. Skombinował sobie też zaraz całą rzecz zupełnie jasno i dokładnie. Słyszał o ślubie w nocy, Janina wyznała mu, że cień jakiś cięży na jej życiu, a zatem, zestawiając obydwa te fakta, domyślił się łatwo prawdy. Artur i Janina kochali się, zanim Helenka zachorowała — to już nie ulegało wątpliwości. I żal mu było Helenki, ale i dla niego nie było teraz żadnej nadziei pozyskania serca tej, która mu była najdroższym skarbem na świecie!

I cóż miał Helence powiedzieć? Prawdy wyznać nie mógł, był bowiem przekonanym, żo miłość lorda Chesley należy wyłącznie do Janiny, i że oboje stali się ofiarami kaprysu Helenki.

— Sądzę, — rzekł do niej kilka dni później, — że pani się mylisz. Mężczyzna nie może się poświęcać dwom paniom. Pomyśl tylko, milady, ile czasu przepędza lord Chesley w towarzystwie pani, dla kuzynki nie pozostaje mu istotnie ani chwili. Jestem pewien, że pomiędzy nimi nie ma żadnej nienawiści. Może nie rozmawiają z sobą tak dużo, jak dawniej, ale to jest zupełnie jasnem i zrozumiałem. Zakochany młody małżonek nie myśli o nikim, jak o swojej żonie.

Helenka usiłowała zadowolić się tą odpowiedzią, ale dziwny niepokój ogarnął jej serce. Z tem wszystkiem przestała się chwilowo zajmować „niezgodą“ męża i Janiny, miała teraz bowiem myśli zwrócone na inną sprawę. Za namową Jerzego sprowadzono z Londynu pewnego malarza, i polecono mu wymalować portret Helenki, trzymającej w objęciach maleńką Stellę. Wszyscy byli wdzięczni Jerzemu za tę propozycyą, obraz bowiem udał się wybornie i był rzeczywiście zachwycającym. Helenka z rozkoszą wpatrywała się w śliczną twarzyczkę dziedziny, i nie posiadała się z radości, że będzie miała na zawsze tak drogą pamiątkę z jej najpierwszej młodości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SZEWCZYK SZCZYGIEŁ,

konfederat.

(Szkic z przeszłości).

Skreślił Henryk Mierzeński.

Ciąg dalszy.)

IX.

Nocna wizyta.

Na drugi dzień wieczorem, w pokoiku u pana Ostoi siedział Piotruś na małej kanapce niedaleko kominka obok Leosi; stary ojciec na wygodnem, skórzanem krzśle, kurzył fajkę i zamyślony wpatrywał się w gorejące polana na kominku.

Tymczasem między młodą parą cicha toczyła się rozmowa, przerywana tylko czasami głośniejszym wykrzykiem Piotrusia, który ująwszy drobniutką rączkę córki pana Kazimierza w swoje dłonie, coś jej z zajęciem opowiadał.

— Panno Leosiu! — mówił Piotruś głosem z głębi duszy wydobytym — gdybyś wiedziała, co to za rozkosz stać w szeregu bojowym, oko w oko spoglądać nieprzyjacielowi!...

A gdy trąbka do boju zawoła, z jakąż radością leci się na krwawy taniec z wrogiem! Rzewna piosnka na ustach, w sercu wspomnienie błogich chwil przeszłości, a w duszy nieustanna pieśń zemsty!... O, w takiej chwili życie swoje poświęcić, to rozkosz, rozkosz, najwyższa w życiu!

— Bożeż, mój Boże! — westchnęła Leosia — jakżeż to tam pięknie musi być wśród bitwy!...

— O pięknie, cudnie, panno Leosiu! Z Bogiem w sercu bije się wroga śmiało i odważnie, bo za swoje — a pokrzywdzonemu zawsze Bóg i Matka Częstochowska pomaga!...

Na licach Leosi zakwitł lekki rumienic, prześliczne oczka żywo zajaśniały, a cała jej twarzyczka zdawała się być jakby w boskiem jakiem zachwyceniu.

— Tatku! — zawołała — niegdyś przed latami, to i tatko tak uganiał za wrogiem i bił Moskali i Szwedów, nieprawdaż?...

— A tak, tak, moja ty turkaweczko — odpowiedział z uśmiechem pan Kazimierz — biło się szelmę Moskala jak psa, a nieraz i kręto było koło człeka...

— Ale — dodał, obróciwszy się z uśmiechem do Piotrusia— nie psujno tam dziewczyny, mój ty młody konfederacie, boć jeszcze gotowa mi umknąć z domu do obozu...

— Zanadtoście się coś prędko poznajomili! — zaśmiał się stary pan Ostoja i pokiwał figlarnie palcem...

Piotruś i Leosia zakraśnieli rumieńcami — o czem wtenczas myślał Piotruś, a o czem Leosia, niechaj się piękne czytelniczki domyślą...

Mówią, a jeszcze więcej piszą o miłości, szeroko rozwodząc się nad nieporównanemi rozkoszami niebiańskich dumań i podróży po wyższych, nie każdemu znanych sferach. Jedni przewracając oczy zalewają się łzami i budzą tem litość młodych wdówek, a czasami nawet i mężatek, inni znowu pełnemi erotycznych zwrotów rymami zawracają głowy niedoświadczonym, młodziutkim panienkom, i nieraz niestety doprowadzą do czego? ot lepiej nie powiem! Wiekopomną sławę zjednał sobie w tym pisarskim zawodzie Skorodracki, krwią z serca wytoczoną wypisawszy spory tom „Erotek“, które w swoim czasie ze łzami bywały czytane. A „Adolf i Julia“? To znowu niechaj się Skorodracki schowa.

O ile się piękne czytelniczki domyśliły, nie bez kozery wystąpiły rumieńce na lica młodej pary i Piotruś, chociaż w krótkim czasie pokochał córkę pana Kazimierza, bo nietylko, że jaśniała ledwo co rozwiniętemi wdziękami, lecz zaletami duszy o wiele prześcigła ciało. Szlachetne polskie serce wrzało w dziewiczej tej piersi, nie dziw więc, że Piotruś zajął się Leosią. Leosia wychowana pod opieką starego polskiego żołnierza, wyrosła na dziewczę prawdziwie polskie z hartem i miłością dawnych niewiast naszych. Nie znała fochów i wybryków niewieścich, które w błogich latach panowania ostatniego Augusta nietylko w wyższe, ale w średnie i niższe klasy społeczeństwa się wkorzeniły. Nie umiała się stroić i galować, jak to wtenczas większa część niewieściego rodu czyniła, ale za to nie jedną noc przepłakała przed obrazem Matki Częstochowskiej, modląc się za nieszczęśliwy kraj nasz i brodzący w rozpuście naród. Najmilszą jej było rozrywką, gdy mogła na głos czytać staremu ojcu „Dzieje Polski“ i wtenczas to twarzyczka jej rozjaśniała się, a dziewicze serce przybierało otuchę w lepszą, jaśniejszą przyszłość.

Taką to była córka pana Kazimierza Ostoji.

Ale wracajmy do opowiadania.

Poczciwy pan Kazimierz, spostrzegłszy się, że tak niespodzianie zmięszał młodziuchną parę — zamilkł, i zapaliwszy przy kominku fajkę, zasunął się głębiej w szerokie krzesło i zadumał...

. . . .

Tymczasem ciemnemi, krętemi schodkami kamieniczki nowi goście zdążali do skromnych pokoików pana Ostoi. Głośna rozmowa i głośniejszy jeszcze stukot i hałas w sieni zbudziły pana Kazimierza z zadumania; Piotruś skoczył ku drzwiom, gdy raptem te się otworzyły, i dwóch mężczyzn wtoczyło się raczej niżli weszło do izdebki.

Pierwszy słusznego wzrostu, chudy, czerwony, odznaczał się ogromnej wielkości nosem, który mu jakby ogórek wyrósł na twarzy, i swoim ogromem większą część tejże zasłaniał. Na samym końcu tego potworu nosowego, jaśniała nienajproporcyonalniejsza do całej twarzy brodawka, okrążona jakby księżyc na słotę czerwonawo-żółtą obwódką, która prawie aż do średniej części nosa sięgała.

Drugą osobą, która się za owym długonosowym jegomością wsunęła, była mała figurka o zadartym, wykrojonym nosku i jasnej rudawej czuprynie.

Obaj byli w mundury jazdy Malczewskiego przybrani.

Pan Kazimierz spostrzegłszy wchodzących nieznajomych mu gości, postąpił kilka kroków ku drzwiom i grzecznie zapytał, czegoby sobie życzyli.

— Kwatery... mm... miodu... i jakem szlachcic miodu!... zawrzeszczał nienajgrzeczniej pierwszy jegomość i uszedłszy kilka kroków naprzód, zatoczył się w róg pokoiku...

— Z kimżeż mam ten zaszczyt rozmawiać? — zapytał powtórnie pan Kazimierz, zauważywszy, że nie bez kozery jak widać występują plamy na kolosie swojego gościa.

Budkowski!... jestem wachmistrz Budkowski!... jestem szlachcic Budkowski!... oświadczył z impetycznem poruszeniem ręki zapytany — bez pardonu!...

— A ten, dodał, wskazując na małą figurkę o rudej czuprynie — to mój towarzysz z pod chorągwi Malczewskiego, Kawacki! Tęgo bije, a jeszcze lepiej pije!

— To jest... chciałem powiedzieć łyka... łyka, bez pardonu łyka! — dodał, od ucha do ucha się oblizując.

— A! co w tem, — ciągnął dalej — to już i ja mu muszę ustąpić! Łyka bez pardonu jakem szlachcic!...

Zakończył wreszcie swoje rozumowanie wybitnem, przyjacielskiem poklepaniem, olbrzymią dłonią po plecach, swego towarzysza.

Nie podobała się jednak ta zanadto namacalna rekomendacya rudemu koledze, bo tylko mruknął coś zjadliwie pod nosem i odtrącił pana wachmistrza od siebie, ale tak jakoś nieszczęśliwie, że tenże jak długi padł, i zarył olbrzymim swym nosem w podłogę.

Przestraszona Leosia uciekła do swej izdebki — a pan Kazimierz przekonawszy się, że z swymi gośćmi do ładu nie przyjdzie, pozawlekał obydwóch przy pomocy Piotrusia do małego, ciemnego alkierzyka, zamknął za nimi drzwi na klucz, i wróciwszy wraz z Piotrusiem do swej izdebki, długo zastanawiał się nad tak dziwnym wypadkiem nieuwagi i braku karności między rozkazującymi. Jak się z domyślań Piotrusia i pana Kazimierza okazało, byli to dwaj konfederaci z pod Malczewskiego, którzy zamiast się udać na swoją kwaterę, zaglądali do szyneczku i z dobrze podkurzonemi czuprynami zabłądzili wśród nocy do pomieszkania pana Ostoji.

Tak też było istotnie.

Niedługo potem ciemno i cicho było w starej kamienicy na przedmieściu w Gnieznie; w małym, ciemnym alkierzyku chrapali popici towarzysze — a na drugiej stronie w sypialni swojej modliła się młodziuchna Leosia pod obrazem Matki bolesnej.

Równocześnie klęczał Piotruś pod wizerunkiem Ukrzyżowanego — i późno w nocy widać było słabe światełko w oknach Leosi i Piotrusia.

X.

Pan wachmistrz w kłopocie.

Drugiego dnia rano, jeszcze całe miasto spoczywało w uśpieniu, gdy w małym alkierzyku starej kamienicy na przedmieściu, następująca odbywała się scena.

Równo ze świtem zerwał się wachmistrz z nienajwykwitniejszego swego słomianego łoża, i zaciekawiony zaczął nową swoję kwaterę oglądać.

— Hm... hm... - mruczał z niemałem zadziwieniem — jak ja się tu właściwie dostałem... hm.. jakaś ciupa, czy pokoik... hm...

— A tfu, do biesa — dodał troszkę głośniej i splunął — miodkiem zalałem sobie wczoraj pałkę, aż mi jeszcze dzisiaj pod nosem łaskocze.

— Ażebym pękł jakem szlachcic, to nie zgadnę jak to ja się tu właściwie wziąłem — zakonkludował nareszcie, i z gniewem potargał wąsa.

— A przecież, przecież — dodał nagle i z dziwnie pocieszną i poważną miną przytykał długi palec prawej ręki do okropnego, czerwonego nosa — przecież coś pamiętam, jakby przez sen...

— Jakiś jegomość stary z fajką... szepnął z nadzwyczajnem natężeniem umysłu — hm... jakaś dziewka, hm... dziewka... a prawda! tęga, o tęga dziewczyna!

A... a jakem zagadał, to zaraz uciekła, aha! bez pardonu uciekła!...

— Tfu! — splunął nareszcie i wykrzywił obrzydliwie usta, aż czerwona brodawka na nosie wyszła ze zwego położenia — czy sen, czy mara, czy jakie czary!...

I zamyślił się pan wachmistrz srogo, najeżył wąsa i z coraz to większym zaciekawieniem rozglądał się po ciemnych ścianach alkierzyka.

Tymczasem szanowny jego towarzysz chrapał w najlepsze i ani mu w głowie było niewygodne posłanie i senne fantasmagorye pana wachmistrza.

Za długim i przykrym jak widać wydał się ten spoczynek szanownego koleżki panu Budkowskiemu, bo tylko splunął raźniej i mruknął pod nosem.

— A to ruda bestya... śpi jakby go kto zaczarował!...

— Hej!... koleżko!... panie kolego!.... wołał trzęsąc biedakiem jak gruszką — a zbudźże się do stu czartów, bo cię każę do profesora zamknąć... jakem szlachcic zamknę bez pardonu!...

Pan koleżka jednakże nie uważał jakoś na pogróżki i zaklęcia pana wachmistrza, i przewróciwszy się na drugą stronę chrapał coraz to mocniej.

— Koleżko! Kawesiu! — woła z wrastającym ferworem pan wachmistrz — nie śpij, bo do tysiąc djabłów...

— Ależ Kawesiu, kochany Kawesiu — dodał łagodniejszym trochę tonem — wstawaj, wstawaj! i potrącił znowu nieborakiem, aż ściany się zatrzęsły.

To już było za wiele szanownemu koledze.

Wyciągnął się z głośnem ziewnięciem i stukotem — przetarł oczy i zachrypłym głosem zawrzeszczał:

— Ha! a co to! a co to!

A Bógdajże ci kochany Kawesiu — krzyknął uradowany pan wachmistrz — przecieżem cię dobudził!

A to pan wachmistrz! spostrzegł się obudzony — no dzień dobry, dzień dobry jak się spało?

— Ta nie źle, nie źle — mruknął właściciel czerwony brodawki na nosie, ale nie wiem właściwie u kogo to?

— Ależ u Ostoji, u pana Kazimierza Ostoji — odparł koleżka — tożto nie pamiętasz wasze, jaktośmy z podkurzorzonemi czuprynami pytali wczoraj stróża tutejszej kamienicy, o nazwisko właściciela.

— Aha! — zawołał domniemywając się pan wachmistrz i znacząco dorwał czerwonej brodawki na nosie.

— A żeśmy zemknęli z odwachu — ciągnął dalej towarzysz — tośmy musieli się tu ukryć. A nie pamiętasz to wasze, jak to nas tu w nocy, do tej ciupy pozawlekali?...

— Aa! wrzasnął uradowany koleżka; i z impetem pociągnął znowu brodawki.

— Teraz — dodał z rozumnym giestem oczu i uszu — teraz to już coś trochę, coś trochę rozumiem!

A nie widziałeś to przecie wasze — mówił dalej Kawecki — tę... tę pulchniutką, ładniutką dziewuchę, co to... to zmykła ino my się pokazali?

— O! co to, tom widział jakem szlachcic! — zawołał szczerząc ogromne zęby pan wachmistrz — a tęga dziewucha, nie ma co mówić!...

A — jej pokoik gdzie? hę? dodał — po chwili, i uśmiechnął się jak nieprzymierzając kot na wspomnienie myszy.

Koleżka odpowiedział zrozumiałym gestem.

Spróbujemy! zasyczał Budkowski, przyskoczył do drzwi, jednem wstrząśnięciem wysadził je ze zawiasów.

— Dalej! wrzasnął rudawy towarzysz i razem z panem wachmistrzem poskoczył ku przeciwnym drzwiom alkierzyku Leosi.

Drzwi były zamknięte — Budkowski w pijanem odurzeniu próbował je wywalić.

Krzyk przestrachu ozwał się z wnętrza izdebki — dwaj koledzy odpowiedzieli nań przeraźliwym śmiechem i ponownem uderzeniem, w słabe, drewniane drzwi.

Wtem nowy tumult wszczął się na schodach; Piotruś, który od dawna już nie spał, i przechadzał się po małym ogródku na dole, usłyszawszy krzyki i stukot na piętrze, skoczył na schody i w jednej chwili był już w pokoju, w którym owa scena się działa.

— Uciekajmy! wrzasnął pierwszy pan wachmistrz i porwał się za czerwoną brodawkę na nosie.

Było to już jednak za późno.

Głośny policzek odbił się echem po małych pokoikach pana Ostoji — pan wachmistrz porwał się za nos, a rudawy koleżka za uszy, tymczasem obydwaj znaleźli się już na dole, przed bramą kamienicy, podziwiając zręczność Piotrusia, który w przeciągu jednej sekundy wytransportował ich piorunem po schodach na dół...

— Aj! aj! Kawesiu — dodał posiadacz rudej cupryny, skrzywiwszy się jak środa na piątek.

— A kto temu wszystkiemu winien? — zakończył jeszcze kwaśniej się skrzywiwszy.

— Ta jużci, że nie ja ani ty — zakonkludował przekonany o swej niewinności pan wachmistrz — jeno ten łotr... ten Szczygieł, czy jak go tam nazwali.

— O! to łotr na wielki kamien! — potwierdził z powagą szanowny towarzysz, zacierając poczerwieniałe uszy.

— Ale czekajno czekaj, ty panie rotmistrzu — wrzasnął z wrastającym ferworem Budkowski — popamiętasz ty długo, co to znaczy. . . . .

— I za uszy pociągnąć! dodał nie mniej rozjuszony koleżka.

— Zemsta! krzyknął wachmistrz i przewrócił dwa razy oczyma.

— A jaż mam cicho siedzieć! dodał pan towarzysz — a jam nie konfederat?...

— Czekaj ty szewcze! mieszczaninie! wrzasnął ochrypłym głosem, niedługo twój łeb na karku!

— Zemsta! powtórzyli obaj jednogłośnie uścisnąwszy się po bratersku.

— A teraz — mruknął ciszej Kawecki, ustąpmy na chwilkę do szyneczku, bo nas tu warta gdzie złapie i odda do odwachu. Potem będziemy wiedzieli gdzie się udać! I mrugnął znacząco...

— Dobrze mówisz! potwierdził zadowolony pan wachmistrz, i nie bez naczenia potargał czerwonej brodawki na nosie — chodźmy chodźmy panie Kawecki!...

— Chodźmy! panie wachmistrzu Budkowski, pwtórzył rudowłosy kolega — i obaj ująwszy się pod boki, ruszyli najpewniejszym krokiem na miodek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Aforyzm.

Dzieła wielkich mężów są w każdym wieku, jakby posadą granitową, około której inne społeczne zdobycze, jako pasmo gór, w rozmaitych kształtach zalegają.

Aleksander Wielopolski.

Św. Józef.

(Patrz illustracyą tytułową.)

Opiekun Zbawiciela, św. Józef pochodził z królewskiego rodu Dawida. — Kiedy i gdzie się urodził Ewangelia nam nie powiada, ale prawdopodobnie urodził się w Nazarecie. Pomimo, że św. Józef nie był rzeczywistym ojcem Zbawiciela, to jednak pochodzenie jego z rodu Dawidowego ze względu na Jezusa jest bardzo ważne. Prawo żydowskie nie pozwalało bowiem brać sobie z innego pokolenia żony, jak tylko ze swego własnego, a więc pochodziła i Marya z rodu Dawidowego i spełniła się przepowiednia proroka, że Chrystus Pan narodzi się z pokolenia króla Dawida.

Królewski ród Dawida utracił był wówczas swoją świetność i zubożał zupełnie, albowiem Marya była ubogą panną a i św. Józef był tylko ubogim rzemieślnikiem. Chciał Zbawiciel przyjść w ubóztwie i poniżeniu na świat, chciał się stać równym najmniejszemu ze swych braci, czyż opiekun Jego mógł być bogatym, dostojnym człowiekiem, kiedy Matka Jego była ubogą, nieznaną dziewicą?

Chociaż św. Józef był tak ubogim i światu wcale nie znanym, to jednak żaden człowiek w oczach Boga nie był tak bogatym i tyle znaczącym, kiedy on właśnie jego wybrał do tak wielkiej godności. Był to mąż według słów św. Mateusza sprawiedliwy i wolny od wszelkiej winy, a jak ojcowie kościoła twierdzą, miał zachować przez całe swe życie czystość dziewiczą, to też z tego powodu widzimy św. Józefa na obrazach itd. z symbolem czystości, białą lilią w ręku.

Jako wierny towarzysz Najśw Maryi Panny musiał i on odczuć trudności, które ich nawiedzały jak naprzykład w podróży do Betleemu, gdy nigdzie schronienia w tej zimnej porze roku znaleść nie mogli, kiedy ich wszędzie ze wzgardą odpychano, aż nareszcie zmuszeni byli w stajence się pomieścić. Ale w tem umartwieniu dostąpił św. Józef tej łaski, że mógł najpierwszy prócz Maryi oglądać upragnionego przez wszystkich Zbawiciela świata i że mu się mógł pokłonić jako swemu Synowi przybranemu.

Radość napełnia serce jego, gdy widzi oprócz pastuszków trzech Króli przybyłych z dalekiego wschodu i oddających cześć boskiemu Dzieciątku w ubogiej stajence. Atoli w tej wielkiej radości, Bóg znów zsyła na niego smutek wielki, gdy Anioł Pański oznajmia mu, iż król Herod czyha na życie Dzieciątka i św Józef tej samej nocy wybiera się w ucieczkę daleką, aby ujść przed tyranem. Gdy później dowiaduje się, iż Heroda, który kazał tyle niewinnych ofiar pomordować, spotkała zasłużona kara i już nie żyje, wybiera się znowu napowrót. W drodze dowiedział się, że syn Heroda, który dorównywał w okrucieństwie ojcu, objął po nim rządy, aby minąć nowe niebezpieczeństwo, zamieszkuje na rozkaz Boga w Nazarecie.

Później okazuje się św. Józef także jako wierny opiekun Jezusa i Maryi. — Gdy wybiera się na święta Wielkanocne do Jerozolimy, bierze z sobą Jezusa dwunastoletniego, a gdy powraca, nie widzi Go przy sobie. I poczyna z Maryą Jezusa szukać, aż nareszcie po trzech dniach znajduje go siedzącego pomiędzy doktorami i uczonymi w piśmie, jak ich pytał i słuchał i na pytania ich odpowiadał.

Kiedy św. Józef umarł, nie wiadomo, ale zmarł on z pewnością przed publicznem wystąpieniem Chrystusa Pana, gdyż Pismo św. o nim później nic nie wspomina, a gdyby żył, byłby obecnym na godach w Kanie galilejskiej i na innem jeszcze miejscu byśmy o nim coś słyszeli. Zmarł on bezwątpienia w Nazarecie w obecności i na rękach Jezusa i Maryi. — A jaka słodka musiała być śmierć jego, męża tak bogobojnego jak św. Józef, który całe swe życie poświęcił, oddany Bogu, na to, aby spełnił posłannictwo, powierzone mu przez Niego.

To też w kościele katolickim pomiędzy świętymi szczególniej jest czczony, a kościół w modlitwie prosi św. Józefa, „aby bronił kościół Boży od wszelkich zasadzek nieprzyjacielskich.“

Wierni zaś błagają szczególnie św. Józefa o to, aby przyczynił się o łaskę dobrej śmierci i wyjednał w ostatniej chwili obecność Jezusa Chrystusa, a ufając, że modły ich do Boga za przyczyną św. Józefa wysłuchane zostaną, śpiewają na cześć Jego:

Szczęśliwy, kto sobie Patrona
Józefa ma za opiekuna,
Niechaj się niczego nie boi,
Gdy św. Józef przy nim stoi,
Nie zginie!

Mieczysław B.

Pogadanka.

Szybkiemi krokami zaczyna się przybliżać ku nam termin otwarcia wystawy paryskiej. Raz po raz spotykamy w pismach sążniste artykuły o wystawie — i jedno się wydaje pewnem już teraz, a mianowicie, że Francuzi lepiej i umiejętniej się wezmą do rzeczy, niż Niemcy podczas wystawy berlińskiej. Francya, a raczej Paryż — ta „stolica świata“ jak go nazywają Francuzi, a „Babylon nowoczesny“, jak go nazywają obcy, nie traci olbrzymiej siły przyciągającej. Ba, jeśli spoczywającego na laurach hakatystycznych pana Goldbecka potrafiła wystawa paryska tak dalece pociągnąć, że zdecydował się swe trzysta funtów przetrząść po Europie — najlepszy to dowód, jakie wrażenie wystawa robi na przeciętnym śmiertelniku; życzymy panu Goldbeckowi, który nas nieraz zabawiał swym mimowolnym humorem, aby w Paryżu — się na nim nie poznano tak rychło, jak w Poznaniu.

Jak się zdaje, przyjdzie do skutku projektowana przez grono młodych przemysłowców naszych wspólna wycieczka na wystawę paryską; oby tylko nie zbywało im na dobrym przewodniku! Westchnienie mimowoli mi się z piersi wyrywa, gdyż przypominam sobie, że podczas ostatniej wystawy paryskiej kilku młodych przemysłowców jeździło do Paryża dla obejrzenia wystawy. Spotykam jednego z nich po powrocie do Poznania. — No jakże tam Paryż? — pytam. — Kapitalne miasto — odpowiada. — A cóżeście widzieli, dopytuję się o wystawę. A mój znajomy powiada: To było widzi pan fatalne, żeśmy nie mieli czasu widzieć naprawdę wystawy, bo najciekawsze pawilony zamykano za dnia, a myśmy we dnie sypiali. — Cożeście robili w nocy, — pytam. — Oglądaliśmy *Moulin Rouge*. — Musiałem przyznać, że i *Moulin Rouge* to też swego rodzaju wystawa, ale dla niej nie warto było jechać do Paryża.

Każdemu, kto będzie zwiedzał wystawę paryską w roku bieżącym zalecam bardzo szczegółowe obejrzenie sobie pawilonu galicyjskiego. Pawilon ten — to okaz najpiękniejszy stylu zakopańskiego. Wszystko wykonane jest oryginalnie z drzewa, a każdy przedmiot przedstawia arcydzieło smaku i dokładności wykonania. Trzebaby chyba wyliczać sposobem katalogowym wszystkie znajdujące się w pawilonie przedmioty, aby dać pojęcie o całości. W ornamentacyach przeważa juta i jedwab. Ogólne wrażenie jest bardzo jaskrawe.

Wewnątrz salonu znajdują się piękne hafty, koronki, wyroby rękodzieł. Zwracają uwagę śliczne wyroby introligatorskie. Rzeźbiarz, pan Wojciech Brzega, rodem z Zakopanego wystawił dwie śliczne rzeźby, kosiarza i dziewczynę.

Uwagę zwracają śliczne meble i dywany. Ale dość tego pobieżnego zestawienia. „Praca“ będzie miała swego specyalnego korespondenta na wystawie paryskiej, a ten już wam szczegółowo te rzeczy opisze.

Od wystawy paryskiej przechodzę do rzeczy bardziej nam znanych a poziomych. Chcę wam opowiedzieć „kawał“, jaki się wydarzył niedawno policyi berlińskiej. Jak wiadomo, policya pruska na widok napisów polskich na ulicach, szyldach i t. d. robi taką minę, jakby jej pokazano co najmniej antychrysta. Ten otóż „furor teutonicus“, który ujawnia się w usuwaniu napisów polskich, na manowce wprowadził jednego poczciwego Niemca w Berlinie. Czytał on w gazecie, że w Wattenscheid w Westfalii policya zakazała Polakowi krawcowi napisu polskiego nad oknem. A że widział gdzieś w okolicy szczecińskiego dworca na Hamburgerstrasse jakiś dziwny napis, myśli sobie: pewnie to będzie napis polski. Aby więc „Vaterland“ uratować biegnie do pierwszego lepszego policyanta i pokazuje mu ten napis. Policyant myśli, myśli, głową kiwa — ani rusz, musi być po polsku. Komisarz każe sobie dać protokuł. Okazuje się, że to jest szyld stręczarki, która polskich wychodźców umieszcza. Każą szyld usunąć. Stręczarka zasięga rady adwokata, — omało, że do procesu nie doszło. Tymczasem szyld brzmiał zagadkowo „Vermieterka“, co miało oznaczać stręczarkę. A, no — niechaj takie szyldy policya usuwa. Niechby też łaskawa policya poznańska zasięgnąwszy rady jakiego filologa, zechciała usunąć niegramatyczne szyldy, jakich tu pełno w Poznaniu. Na własne oczy widziałem szyld z napisem „blachasz“ albo „sprzedasz cókru i innych towaruf“. Notabene, niech usuwając te szyldy policya raczy łaskawie zastąpić je nowemi.

X.

Z chwili.

Pożar Komedyi francuzkiej*).

Przyczyną ognia, który zniszczył gmach teatru Komedyi francuzkiej, było, jak stwierdziło ostatecznie śledztwo, zatkanie się rury kaloryferowej, skutkiem czego powstały gazy i nastąpił wybuch. Jak wielkie są straty, przez ogień zrządzone, jeszcze dokładnie nie wiadomo. Spłonęła scena, sala widzów, niektóre garderoby, część archiwum i dekoracye, kancelarya dyrekcyi, foyer i najcenniejsza, zawierająca listy i rękopisy Molière'a część archiwum. Arcydzieła sztuki, w które obfitowała Komedya, obrazy, rzeźby, posągi, gobeliny, których nie strawiły płomienie, uległy zniszczeniu, wyrzucane przez okna. Opinia publiczna wzburzona jest brakiem dostatecznych środków ratunku; stwierdzono, że kurtyna żelazna nie była spuszczona, że strażaków nie było w teatrze, pomimo, iż odbyć się miało widowisko, że zbiorniki wody były puste, a gdy nadjechały sikawki parowe, stały na razie bezczynne, gdyż brakło wody. Jak doniosły depesze, ofiarą padła panna Henriot, najmłodsza, 23-letnia artystka komedyi; nadto 17 osób jest ranionych, z tych ciężko jeden oficer i jeden żołnierz. Widowisko tego dnia pamiętnego miało się składać z „Bajazeta" Racine'a i „Deputowanego z Bombignac".

*) W następnym numerze podamy dokładny opis strasznego nieszczęścia wraz z odnośnemi illustracyami.

✝

Nekrologia.

Ś. p. kardynał Jacobini.

W Rzymie zakończył życie mąż, który nawet przed otrzymaniem kapelusza kardynalskiego był przez sfery rzymskie uważany za najpoważniejszego kandydata do tyary po Leonie XIII, gdyż był Rzymianinem rodowitym, wsławił swe nazwisko jako założyciel większości klubów katolickich w Rzymie, a w pamięci wszystkich, którzy się doń zbliżyli, zostawiał po sobie miłe wspomnienie. Można było śmiało o nim powiedzieć, że nie miał nieprzyjaciół. To też wszyscy, w bliskich stosunkach stojący z Watykanem, zacząwszy od skromnego kleryka, a skończywszy na wpływowych purpuratach, uważali kardynała Jacobiniego za idealnego kandydata do tyary papieskiej.

Zmarły miał skromne początki. Syn dostawcy jednego z klasztorów rzymskich, już w latach chłopięcych nosił sutannę. Ojciec chciał z chłopca zrobić zakrystyana, gdy jedna z arystokratek rzymskich ofiarowała fundusz na kształcenie dziecka. Po ukończeniu seminaryum i otrzymaniu święceń duchownych, wykładał filozofię w tem samem seminaryum, w którem otrzymał wszystkie swoje stopnie akademickie. Po wydarzeniach w roku 1870 poświęcił się zakładaniu towarzystw, mających na celu szerzenie oświaty wśród młodzieży katolickiej. Jednocześnie tworzył związki robotnicze, położył fundament pod „Unione Romana", instytucyę polityczną, mającą w programie swoich zadań kierowanie wyborami gminnemi. „Unione" dziś liczy kilkanaście tysięcy członków, którzy co rok wysyłają na Kapitol swego przedstawiciela. Pius IX w nagrodę za gorliwość powierzył mu wpływowe stanowisko sekretarza brewów.



Ś. p. kardynał Jacobini.

Po objęciu pontyfikatu przez Leona XIII, Jacobini, powołany do Watykanu, otrzymał nominacyę na sekretarza kongregacyi nadzwyczajnych spraw duchownych, a następnie sekretarza propagandy. W ciągu 10 lat sprawowania tego ostatniego urzędu umiał sobie zaskarbić przyjaźń wszystkich biskupów, którzy zaczęli go uważać za męża przyszłości. Przed udzieleniem kapelusza kardynalskiego, Leon XIII powierzył Jacobiniemu stanowisko nuncyusza w Lizbonie, nuncyaturę pierwszej klasy, uważaną przez sfery rzymskie za stanowisko zaufania.

Pobyt Jacobiniego w stolicy Portugalii, upamiętnił się kilku zwycięztwami dyplomatycznemi, które zjednały mu purpurę kardynalską rychlej, niż się tego spodziewano, po czem Jacobini objął kłopotliwe i pracowite stanowisko kardynała wikaryusza, na miejsce kardynała Parochiego. Był to urząd, jakby stworzony dla nowo kreowanego purpurata. Zadowalniał na nim wszystkich, a nie urażał nikogo. Na stanowisku tem zaś potrzebny jest takt wyjątkowy, choćby ze względu, iż ze wszystkich dostojników Watykanu kardynał wikaryusz musi mieć stosunki z władzami cywilnemi.

Od lat wielu kardynał Jacobini cierpiał na chorobę cukrową, która też ostatecznie powaliła go na łoże śmierci. Już w końcu roku zeszłego stan zdrowia gasnącego kardynała był tak niepomyślny, że Ojciec św. dodał mu stałego pomocnika, który faktycznie sprawował obowiązki kardynała wikaryusza. Mianowany w Listopadzie roku zeszłego, Jacobini nie zdążył nawet zająć apartamentu w Watykanie, należnego mu w wikaryacie. Zmarł w 63 roku życia. Kardynałem był od dnia 22 Czerwca 1896 r. R. i. p.

* * *

Zgasł 6 bm, w Pigłowicach w powiecie średzkim mąż cichy i skromny, tak że oprócz rodziny, przyjaciół i sąsiadów, mało kto znał jego wartość, nie widziane prawie w ostatnich latach, że on jest na świecie. A przecież

ś. p. Ludwik Sokolnicki,

dopóki wiek i stan zdrowia nie położyły końca jego czynności, był jednym z tych w kraju ludzi, którzy umieją pojmować i spełniać zadanie i obowiązki prawego Polaka, katolika, ojca rodziny i obywatela. Było coś wojskowego w jego energii i usposobieniu. Jak wszyscy z jego czasów, rósł i chował się we wspomnieniach roku 1831. Z szczególnem upodobaniem wspominał dawne czasy. Z kłopotów, po r. 1848, w którym czynny brał udział, jakoś wydobył się szczęśliwie i odtąd zaczęło się dla niego na wsi to życie ciche, skromne, wolne od wszelkiej próżności i wszelkiej zarozumiałości, a pełne pracy, cnót domowych, nic na pokaz, a wszystko rzetelne: postępowanie takie, jak zdanie, czyn taki, jak słowo. Charakter na wskroś szlachetny, verus israelita, jak słusznie skreślił jego żywot miejscowy ks. proboszcz z Mądrego w przemówieniu na eksportacyi.

W dniu zaś pogrzebu szanowny ks. dziekan Antoniewicz z Bnina pożegnał w serdecznych słowach imieniem rodziny i tych, którzy kochali i szanowali ś. p. Ludwika Sokolnickiego, swego długoletniego przyjaciela, a pozostali polecając duszę zmarłego Bogu, unieśli z sobą słowa kaznodziei: „Umarł, lecz Bóg z nami!" Te kilka słów jako hołd pamięci dobrze spełnionego sędziwego żywota męża wielkopolskiej ziemi.

Cześć Jego pamięci!

Do Czytelników.

Pracujemy dla ludu naszego bezinteresownie, nie szczędząc kosztów i trudu, a gdyby nie serdeczne poparcie, gdyby nie szczera przyjaźń, jaką nas ogół darzy — sił by nam pewnie i środków nie stało, aby w imię Boże rozpoczęte dzieło prowadzić na pożytek drogiej sercom naszym sprawy. Wierni zasadzie, że „Praca" ma być przyjacielem wszystkich warstw społecznych, idziemy od pałaców do lepianek, godząc waśń domową, zaklinając do *pracy* pod hasłem *zgody*. Któż jednak nam dziś w tych usiłowaniach bardziej dopomódz może, jeśli nie ogół czytelników naszych?

Odzywamy się więc dziś do wszystkich nam życzliwych czytelników z gorącą prośbą o poparcie przez zjednanie nowych czytelników.

„Praca" jest pismem szczerze katolickiem i narodowem. Jedno spojrzenie łaskawie rzucone na łamy pisma naszego wystarczy, aby rozpoznać, co jest celem „Pracy" naszej, co jest dążeniem każdego słowa, co jest myślą przewodnią każdego artykułu: oto *obudzenie w ludzie naszym przywiązania do wiary ojczystej i ojczystej przeszłości, pokrzepienia ducha na przyszłość!*

Niech ogół czytający nasze pismo poleci dalej, niech się przyczyni do przysporzenia liczby nowych bojowników w ciężkiej naszej walce o zagrożoną narodowość naszą. Podnosimy ten apel w imię drogiej sercom naszym sprawy narodowej. Przekonani, że Szanowni Czytelnicy w imię dobrej sprawy nie odmówią nam poparcia, zamieszczamy w dzisiejszym numerze kwit abonamentowy na nowy kwartał z usilną prośbą o podanie takowego krewnym, przyjaciołom lub znajomym z ciepłą zachętą do abonamentu, który na cały kwartał wynosi

tylko jednę markę.

By się odwdzięczyć za tak liczne a zawsze szczere dowody gorącego poparcia, którego „Praca“ z wszech stron ustawicznie doznaje, postanowiliśmy zgotować

miłą niespodziankę

dla wszystkich czytelników

i to przez wydanie specyalnego numeru, poświęconego wyłącznie Sienkiewiczowi.

Będzie to w całem znaczeniu tego słowa piękne

Album Sienkiewicza

zaopatrzone bogato w śliczne illustracye i zajmująco objaśniającą treść.

Podjęte przez nas wydanie albumu Sienkiewicza będzie tak wykwintne, że śmiało posłuży za ozdobę — nawet salonu, a dla przeciętnego czytelnika pozostanie

na lata

cenną pamiątką.

Pierwsze siły pióra złożą się na urozmaicenie treści albumu.

Wydanie przez nas specyalnego numeru poświęconego wyłącznie Henrykowi Sienkiewiczowi ma posłużyć zarazem jako

winny hołd

największemu pisarzowi,

który składa Wielkopolska, ku uczczeniu 25-letniej działalności świetnego autora „Potopu“.

W numerze Sienkiewiczowskim określimy w słowach zwięzłych, lecz pełnych znaczenia sławy, której autor „Trylogii“ u obcych zażywa, przez co stwierdza wobec świata twórczą siłę ducha narodowego i jego żywotność moralną.

Liczne notatki bio- i bibliograficzne, mnóstwo szczegółów o Sienkiewiczu, cały wieniec wrażeń, na które składają się wspomnienia osobiste, poglądy na sztukę, opowiadania o podróżach itd. itd., oraz liczne illustracye dopełnią obszerną i wielce zajmującą część albumu, który wydamy

już w pierwszych dniach kwietnia.

Prosimy więc nieociągać się z abonamentem, lecz już teraz zamówić „Pracę“ u listowego lub też pospieszyć albo posłać dołączony kwit abonamentowy wraz z jedną marką na pocztę, przez co uniknie czytelnik niemiłej przerwy w regularnym odbiorze pisma i przez pocztę otrzyma bezpłatnie zapowiedziane

album Sienkiewicza.

Mianowicie ciekawie przedstawi się strona illustracyjna tego jubileuszowego numeru. Zobaczą czytelnicy reprodukcyą słynnego portretu Sienkiewicza, Kazimierza Pochwalskiego, dalej obecny wizerunek autora „Rodziny Połanieckich“; reprodukcyą z rzeźby w bronzie przez Romana Lewandowskiego; Henryka Sienkiewicza w wili i w parku St. Maur, w łodzi na Marnie, w swojej warszawskiej pracowni literackiej, wreszcie fotografią Sienkiewicza z dziećmi. Dalej podobiznę dziadka pisarza, Józefa Sienkiewicza, podpułkownika artyleryi byłych wojsk polskich, oraz czterech tłomaczów dzieł Sienkiewicza, a mianowicie: Curtina, Barreta, Verdinois i Prado.

Osobny dział illustracyi stanowić będą miejscowości, zamieszkiwane przez Sienkiewicza, oraz wizerunki jego warszawskiego mieszkania. Wreszcie liczne reprodukcye pamiątek ze zbiorów Sienkiewicza itd. itd.

Całość numeru będzie pięknem i starannie ułożonem cennem albumem — a raczej zbiorem przyczynków do biografii wielkiego pisarza, zawierającym wiele rzeczy absolutnie nowych i mogących zainteresować szerszy ogół.

Ponieważ sam jeden numer Sienkiewiczowski dla poszczególnego czytelnika przedstawiać będzie znacznie większą wartość od całokwartalnego abonamentu, przeto żywimy błogą nadzieję, że szanowni czytelnicy przyczynią się do tego, by i krewni, przyjaciele i znajomi licznie przystąpili do abonamentu „Pracy“, w którym to celu chętnie przyślemy na żądanie każdą ilość numerów na rozdanie.

Każdy nowoprzybyły abonent otrzyma bezpłatnie wszystkie w druku będące powieści od początku.

Kto zjedna choćby tylko jednego abonenta i nadeśle odnośny kwit abonamentowy wraz z własnym kwitem, ten otrzyma tytułem premii, a więc *bezpłatnie*

Kalendarz Maryański

albo też ładną książkę.

Kto zjedna kilku abonentów i nadeśle kwity, ten otrzyma kilka ładnych książek.

Dzisiejszy numer „Pracy“ jest przedostatnim w bieżącym kwartale, więc

czas najwyższy zapisać

„PRACĘ“

na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę.

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.

Już wielkanocny numer „Pracy“, pięknie illustrowany i nadzwyczaj obfity w doborową treść, a mianowicie wydanie specyalnego numeru Sienkiewicza, przeniesie znacznie wartość całkowitego abonamentu.

Szanownych Czytelników w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

1 złr.

wprost do Administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 72 centy.

Drobne inseraty przyjmujemy tylko za opłatą należytości z góry.

Numery okazowe wysyłamy na życzenie każdemu bezpłatnie.

Początek drukujących się powieści, mianowicie „Krwawy chrzest“, „Pod maską“, „Szewczyk Szczygieł“ i t. d. otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie, jeżeli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i znaczek dziesięciofenygowy na porto.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numera „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Kwit abonamentowy na „Pracę“ na nowy kwartał zamieszczony jest na stronie 336-tej niniejszego numeru „Pracy“. Kwit ten prosimy odciąć, wypełnić i wraz z dołączeniem 1 marki posłać na pocztę lub też oddać listowemu.

Komu zależy na tem,

by z czasem mieć pokaźną

Biblioteczkę domową

polskich dzieł wyborowych,

a za tani pieniądz,

ten niech zaabonuje na poczcie

„Czytelnią Polską“

która kosztuje kwartalnie

tylko 50 fenyg.

W Austryi 30 centów.

Kto raz „Czytelnią Polską zaabonuje, ten już zostanie jej stałym czytelnikiem.

„Czytelnia Polska“ wychodzić będzie

co tydzień

we formacie książki w objętości 16 stron i więcej, z pięknemi illustracyami i t. d.

Każdy tomik „Czytelni Polskiej“ stanowić będzie w sobie ile możności całość, tak, że każdy zeszyt będzie dla siebie osobną książką. Już w ciągu kwartału więc każdy abonent „Czytelni Polskiej“ posiadać będzie 13 tomików czyli w ciągu roku 52 zajmujących książek.

Za pomocą „Czytelni Polskiej“ każdy więc, choćby najbiedniejszy, przyjdzie bez kłopotu — tanim groszem — w posiadanie

pokaźnej biblioteki domowej.

Zatem — nieociągać się, tylko czemprędzej 50 fenygów w rękę i — dalej na pocztę!

Pomiędzy innemi *„Czytelnia Polska“ będzie miała jeszcze i tę zaletę, że takową każde dziecko czytać może i czytać powinno!*

Zwłaszcza dwory nasze powinny „Czytelnią Polską“ abonować po kilkadziesiąt egzemplarzy dla swego ludu roboczego.

Pierwszą seryę „Czytelni Polskiej“ rozpoczniemy

obchodem jubileuszowym

naszego wielkiego pisarza — t. j. drukiem „Nowel Sienkiewicza“, z podaniem tegoż fotografii i odnośnem streszczeniem życiorysu.

Przy każdem rozpoczęciu druku jakiegokolwiekbądź utworu w „Czytelni Polskiej“ podamy zawsze fotografią autora wraz z objaśniającym tekstem. Wskutek tego przyczyni się „Czytelnia Polska“ do zaznajomienia szerszego ogółu czytelników z naszymi pisarzami.

„Czytelnia Polska“

zapisaną jest na poczcie pod rubryką *t. 13 a 5 Nachtrag.*

☞ **Kwit abonamentowy** na „Czytelnią Polską“ zamieszczony jest na stronie 336 niniejszego numeru „Pracy“. Kwit ten prosimy odciąć, wypełnić i wraz z dołączeniem 50 fenigów posłać na pocztę lub też oddać listowemu.

Wiadomości.

Prosimy jak najuprzejmiej czytelników naszych, aby przy zakupnach uwzględniali w pierwszym rzędzie tych panów kupców, którzy ogłaszają się w „Pracy“ i aby przy zakupnach powoływali się zawsze na anonse w „Pracy“.

Kto odebrał

„Jednodniówkę“,

a dotąd nie nadesłał pieniędzy, niech zechce kwotę tę przeznaczoną na

ubogich i chorych

ile możności jak najspieszniej nadesłać do

Administracyi „Pracy“,
w Poznaniu, Rycerska 38.

Wszelkie oferty nadsyłane nam, a dotyczące inseratów, prosimy przysyłać w zapieczętowanych listach z wyraźnem oznaczeniem liter i znaków podanych w odnośnym inseracie, gdyż tylko w takim razie możemy je dalej wysłać interesentom. Listów bez oznaczenia liter i znaków uwzględniać nie możemy.

Ekspedycya „Pracy.“

Teatr. Dnia 15-go b. m. odbył się z wielkiem powodzeniem benefis weteranki sceny naszej, najwierniejszej z wszystkich, przytem pełnej zamiłowania do pracy scenicznej i iście młodzieńczego zapału, pani Eleonory Królikowskiej, pierwszorzędnej artystki. Benefisantka ukazała się nam w roli Cyganki w dramacie Józefa Korzeniowskiego: „Dymitr i Marya“.

Bardzo licznie zgromadzona publiczność oklaskiwała gorąco wyborną grę benefisantki oraz staranną grę innych artystów. Przedstawienie było wzorowe, a wystawa sztuki efektowna.

W sobotę, dnia 17 b. m. premiera: „Jarmark małżeński“, komedya w trzech aktach w przekładzie Jarosława Pieniążka. Utwór ten pełen szlachetnego humoru cieszy się na wszystkich scenach Europy prawdziwem uznaniem. Nielada to trud dla autora skojarzyć w przeciągu niecałych trzech godzin aż siedm małżeństw — tego jednak w „Jarmarku małżeńskim“ dokonano.

W niedzielę, dnia 18 b. m. wieczorem po raz drugi „Jarmark małżeński“, a po południu o godzinie 3-ej po cenach do połowy zniżonych tragedya przez Szekspira p. t. „Otello, murzyn wenecki“ z panem dyrektorem Rygerem w roli tytułowej.

Młody człowiek, wykształcony, który ukończył seminaryum nauczycielskie, Górnoślązak, pozbawiony posady przez hakatystów, poszukuje odpowiedniej posady, najchętniej buchaltera. Adres podamy chętnie na żądanie.

Egzamina.

W gimnazyum poznańskiem św. Maryi Magdaleny złożyło egzamin dojrzałości 22 Polaków: Kalawski Jan, Krajewski Franciszek, Leitgeber Leon, Megger Franciszek, Radziejewski Kalikst, Stelmachowski Olech, Szulc Tadeusz, Tomaszewski Antoni, Wiśniewski Jan, Żółtowski Adam, Dams Aleksander, Ludwiczak Antoni, Meissner Mieczysław, Mika, Parczewski Tadeusz, Preibisz Leon, Remlein Andrzej, Sławski Stanisław, Suwalski Maksymilian, Urbanowski Stanisław, Wende Teodor, Zakrzewski Jan. Z powyżej wymienionych uwolniono od ustnego egzaminu pierwszych dziesięciu.

W Wągrówcu złożyło egzamin dojrzałości 11 prymanerów: 2 Niemców, 2 żydów i 7 Polaków: pp. Kolczewski Konrad, Martyński Antoni, Raczkowski Leon, Rogaliński Antoni, Stankowski Kaźmierz, Waniorek Henryk, Zajączkowski Witold.

W Gnieźnie odbył się w zeszłym tygodniu w tamtejszem gimnazyum egzamin abituryencki, który złożyło siedmiu młodzieńców, między nimi jeden Polak, p. Gierlacki.

W Rogoźnie odbył się dnia 7-go b. m. egzamin dojrzałości. Zdało go siedmiu prymanerów, pomiędzy nimi 4 Polaków: pp. Wiesław Chrzanowski, Leon Dembiński, Stanisław Krygier i Józef Wieczorek. Od ustnego egzaminu uwolniono pp. Chrzanowskiego i Krygiera.

W Śremie odbył się egzamin abituryencki dnia 12-go b. m. Z trzech wyższych prymanerów złożyło go dwóch Polaków i to pp. Noak Teodor i Zwierzkowski Stanisław.

W Rawiczu w seminaryum nauczycielskiem składało egzamin 51 seminarzystów i wszyscy go złożyli, między nimi następujący Polacy: pp. Framski, Ziółkowski, Wróblewski, Sarbinowski, Filipowski, Gryczka, Jaeschke, Zieliński, Pierdziech, Skowron, Maciejewski, Kurpisz, Grochowski, Stanisław i Edmund Sowińscy, Osiński, Hartwig, Świątkowiak, Szweda.

W Osnabrücku zdał dnia 6 b. m. książę Janusz Radziwiłł, syn ks. Ferdynanda Radziwiłła z Antonina, egzamin abituryencki w gimnazyum tamtejszem i został wskutek dobrych prac piśmiennych uwolnionym od egzaminu ustnego

W Królewcu na uniwersytecie złożył egzamin państwowy na lekarza p. Janta-Połczyński z Komorzy „summa cum laude“.

W Friedebergu w n. Marchii złożył egzamin dojrzałości w tamtejszem gimnazyum p, Stefan Beisert z Krzywinia.

Rozdzień Górny Slązk. Baczność! Dnia 18 b. m. odbędzie się na sali p. Reicha o godz. 4-tej po poł. zwyczajne miesięczne posiedzenie Towarzystwa gimnast. „Sokół“. Liczny udział druhów pożądany. Czołem!

Wydział.

Hennigsdorf, Górny Slązk, powiat Trzebnicki. Założyliśmy tutaj Towarzystwo polsko-katolickie pod opieką św. Józefa; dnia 4-go b. m. odbyło się pierwsze zebranie na sali pana Hartj'ego w Neubrück pod Hennigsdorfem. Tamże odbywać się będą zebrania regularnie w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. Towarzystwo abonuje „Pracę“ i „Wielkopolanina“. Mamy nadzieję, że teraz się tutaj nasza kochana „Praca rozszerzy.

Sylwester Andrzejewski, sekretarz.

„Szczęść Boże!“ — Redakcya „Pracy“.

Ostrów. Dnia 26 b. m. umarł w mieście naszem śp. Tomasz Leszczyński, przeżywszy lat 58, weteran z roku 1863. — Dnia 11-go b. m. umarła najstarsza bodaj obywatelka naszego miasta, śp. Ewa Bogdańska, przeżywszy lat 98.

Niech spoczywają w pokoju!

Fabrykę zeszytów, pierwsze i jedyne w tej branży przedsiębiorstwo polskie w Poznaniu i na prowincyi, założył w mieście naszem fachowo uzdolniony, przedsiębiorczy przemysłowiec, p. K. Kmiecikowski, obok swej od lat 12 zaszczytnie znanej introligatorni przy ulicy Wodnej. Pan Kmiecikowski może na tem polu wszelkiej obcej konkurencyi śmiało stawić czoło. Panom kupcom, księgarzom i właścicielom składów materyałów piśmiennych, polecamy gorąco to przedsiębiorstwo naszego rodaka. Bliższe szczegóły podane są w odnośnym inseracie, na który zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom.

Od Redakcyi.

Panu Janowi Ł. w Cieszynie. (Ślązk austryacki). Czerwona karteczka załączona była przez omyłkę do „Pracy“. Nr. 9-y wysłaliśmy i „Kalendarz Maryański“. Wierszyk zamieścimy.

Panu J. D. w Jarocinie. Firma Bittner (właściciel S. Tuchołka) w Poznaniu, ulica Szeroka.

Pani Fr. Z. w Sł. pod Strzałkowem. Dziękujemy — zamieścimy.

Panu A. T. w Ch. Najuprzejmiej dziękujemy i zamieszczamy równocześnie. Wiersz p. t. „Gwiazdka wigilijna“ prosimy nam łaskawie zostawić do przyszłej gwiazdki.

Panu J. W. Biografią zamieszczamy. Co do innych artykułów, to na razie jesteśmy zaopatrzeni — może później.

Panu Zygmuntowi Jodł. w R. w Galicyi. Wskazać stosowne miejsce, jest trudno na razie. Nadeślij Pan inserat a zamieścimy go kilka razy gratis.

Panu Józefowi N. w Nadbrzeziu (Galicya). Racya — dziękujemy za wiadomość.

Panu Wiktorowi Jankowskiemu w Ueckendorf (Westfalia). Obrazu p. t. „Obecny stan Polski“ w powiększonym formacie kolorowym Panu przysłać nie możemy, bo koszta wykonania byłyby znaczne.

1900 Poznań. Nieszczęsna wierszomania niejednemu już popsuła w głowie — my zwykli śmiertelnicy porzućmy raczej tę wadę i piszmy prozą, gdyż *wiersze pisać potrafią tylko poeci.* Wierszoklectwo jest to „czczą próżnością“, która nas szpeci. A gdy wiersz nadto wędruje do kosza, wtenczas autor czuje się być pokrzywdzonym i zwykle mamy „Crimen laesae Majestatis“. Sądzimy, że Pan tą odpowiedzią się zadowolnisz.

Panu A. T. w G. powiat Żniński. Udaj się Pan wprost do wiadomego Towarzystwa po prospekty i t. d. — my ich nie posiadamy.

Panu M. Kl. w M. Górce. Dr. K. Rakowski mieszka we Lwowie, ulica Łyczakowska 39b. — Fabryka porcelany na Wildzie, przedmieściu poznańskiem, jest niemiecką.

Trójce Wiarusów z pruskiej ziemi. Za życzenia dziękujemy najuprzejmiej.

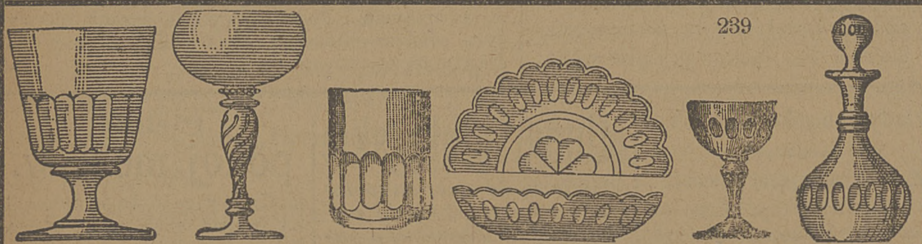
Panu Jul. Kołaczkowskiemu w Budapeszcie. Dziękujemy bardzo za łaskawą życzliwość, a załączając serdeczne pozdrowienie — polecamy się i nadal łask. pamięci. Odnośny artykuł zamieścimy już w następnym numerze.

Panu M. w Ś. Broszurkę taką nabyć Pan możesz w księgarni Tempłowicza w Poznaniu.

W. Janaszek. Poznań, ulica Wrocławska 3.

Lampy	Sprzęty kuchenne.	Szkło.	Porcelana.
stołowe (metalowe) po 2,25, 3,50, 5, 7. **wiszące:** po 4,50, 10, 15, do 50. **Pająki** od 20 do 100 marek.	Wyżdżymaczki. Maszyny do prania. Noże, widelce, łyżki. Maszynki do mięsa.	Alfenidowe zastawy, koszyki, maśliczki, menażki, serwisy do kawy, sztućce.	nowe fasony dek. serwisy do kawy pocz. od 2,75—40 M, serwisy stołowe na 12 osób od 55 do 200 marek.

239



Herbaty

tanie, wyborowe poleca

„Fu Kien"

Import herbaty

T. Filipowicz, Poznań,

plac Wilhelmowski 3.

Cenniki gratis i franko. 75

„Levana" państw. konces. Zakład naukowy i wychowawczy w Kötitz-Coswig i S. pod Dreznem.

Przygotowywania w oddziałach i pojedyńczo do wszystkich klas wyższych zakładów naukowych!

Osobne kursa dla jednorocznych i podchorążych!

Wydziały specyalne dla:
a) słabopojmujących i niezdolnych do uzysk. promocyi uczniów.
b) umysłowo zacofanych, ale jeszcze zdolnych do wykształcenia chłopców. 157

Szybkie i pewne skutki! Jednostkowe wychowanie!
Najsurowszy porządek domowy! Znakomita pensya!
Przyjęcie każdego czasu. — Prospekta wysyła Dyrekcya.

Na podstawie mandatu udzielonego nam przez Walne Zebranie interesentów tak z grona właścicieli ziemskich, jak i dzierżawców z dnia 21 lutego r. b. ogłaszamy niniejszem, że od dnia dzisiejszego wciągnęliśmy w zakres działalności naszej wszystkie interesa, tyczące się **dzierżaw rolnych,** mianowicie pośrednictwo takowych. Prosimy więc tak mających chęć wydzierżawić, jak i reflektantów na dzierżawy do nas się udawać.

Przy adresowaniu listów do nas prosimy koniecznie **podawać ulicę.** 150

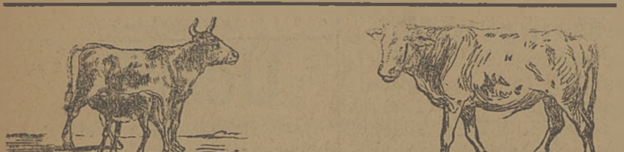
Poznań, dnia 2 marca 1900.

Spółka Rolników parcelacyjna

przy ul. Wihelmowskiej nr. 18.

ZARZĄD:

Adam Woliński. Wład. Kaczmarek. Nepomucen Gellert.



Biuro pośredniczące w zakupnie bydła wschodnio-pruskiego

Martin Raabe, Królewiec (Königsberg) O-Pr.

Hintere Vorstadt 17.

Mąż zaufania Spółki dla spieniężania bydła w Niemczech. Zawsze skaże (pośredniczy i sam kupuje) wschodnio-pruskie woły, bydło na tucz, krowy dojne i do chowu. 1083

Gospodarstwo

składające się z 245 mórg dobrej ziemi z łąkami i ogrodem w dobrem położeniu z inwentarzem żywym i martwym natychmiast do nabycia z powodu starości i osamotnienia. 173

Bliższych warunków dowiedzieć się można u właściciela **Marcina Nowaka** w Janikowie p. Główno.

Karpie do zarybienia i rozpłodu, szybko rosnąca i wytrzymała rasa. 156
Sandacze i forele pod gwarancyą żywego odbioru dostarcza podług cennika **A. HÜBNER, hodowla ryb.**
Frankfurt nad Odrą.

Gospodarstwo

blizko Gostynia, składające się z przeszło 40 mg. pszennej ziemi, przeszło 3 morgi boru, 7 mórg dobrej łąki, ślicznego sadu, oprócz tego półtory morgi ogrodu pod budowlę. Budynki znajdują się w dobrym stanie, mam zamiar sprzedać pod korzystnemi warunkami. Wpłata podług ugody. Bliższych wiadomości udzieli sprzedający.

Józef Mulkowski
posiedziciel, 167
Daleszyn (Daleschin)
p. Gostyń.

Szukam 152
dzierżawy
folwarku
lub probostwa wielkości 300—500 mórg. Oferty pod lit. **S. nr. 152** do eksp. „Pracy".

Włódarz

licz. 50 lat, bez familii, który posiada chlubne świadectwa, pragnąłby przyjąć miejsce od 1. 4. rb. **jako podwórzowy.** Łask. zgłoszenia do 154
Fr. Jabłońskiego
p. adr. **St. Kicinski,** Grodzisk, Graetz, Bez. Posen.

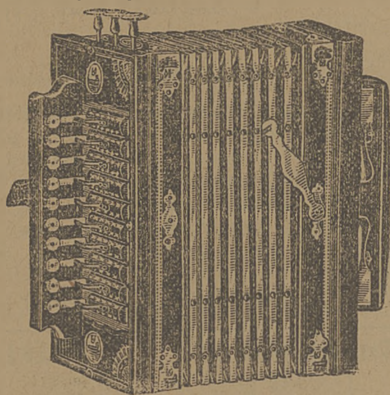
Karty okrętowe

z Hamburga do Ameryki, Brazylii i t. d.
poleca 40
Adam Spektorek,
Kolmar i P.

Kto karty okrętowe u mnie kupuje, jedzie pod opieką stowarzyszenia katolickiego św. Rafaela, przez co ochroni się od każdej moralnej i materyalnej straty.

N. Zientkiewicz,

Poznań, Stary Rynek 35 I. p.



10 klawiszy 40 głosów, 2 kl. 3,50 m.
10 klawiszy, 40 głosów, wszystkie narożniki okute, duża głośna 4 m.
10 klawiszy, 60 głosów. wszystkie narożniki okute, 3 klucze, głośna 5 m.
10 klawiszy, 80 głosów, wszystkie narożniki okute, 4 klucze, głośna 6 m.
10 klawiszy 60 głosów, każdy miech podw. i wokoło okuty, taka, jak model wskazuje, 3 klucze 10 m.
10 klawiszy, 80 głosów, każdy miech podwójny i wokoło okuty, taka, jak model wskazuje, 4 klucze 12 m.
10 klawiszy, 120 głosów, narożniki okute, 6 kluczy 11 m.
10 klawiszy, 120 głosów, najwspan., 6 kl., 2 dzwonki 17,50 m.
Skrzypce ze smyczkiem 5 m.
Skrzypce lepsze ze smyczkiem 6 m.
Skrzypce ze smyczkiem dobre 7 m.
Skrzypce ze smyczkiem dla dobrych graczy 12 m.
Gitara dobra 7 m.
Gitara z mechaniką 10 m.
Nowość! Lux do kręcenia z 6 sztukami 12 m.
Samogrające instrumenta począwszy od 30 m. do 100 m.

K. Studziński

malarz,
11 ulica Rycerska 11
poleca się
do wykonywania wszelkich robót w zakres malarstwa wchodzących
zapewniając sumienną i rzetelną usługę.
Poznań. 160

Czy równo jest nosić obuwie liche lub dobre?

141 **Nie!**

Obuwie dobre jest lekkie i trwałe, wygodne i piękne.

Św. Marcin Nr. 68,

Warszawski magazyn obuwia

Fr. Andrzejewski,

poleca tylko wyborowe obuwie męzkie we wszystkich odmianach, damskie w licznych barwach i formach.

J. Wolniewicz, Kostrzyn.

Pokrywanie dachów, wież, kościołów
łupkiem, dachówką, gątami.

Wykaz z wykonanych pokryć kościołów i pałacy na żądanie.